WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 26 (293)
ROK VII
25 czerwca 1967 r.

KULTURA DLA WSZYSTKICH I UDZIAŁ W NIEJ KAŻDEGO

(Rozmowa AR z wiceministrem kultury i sztuki Zygmuntem Garsteckim)

Dobiega końca rok pracy kulturalno-oświatowej — pierwszy rok realizacji postulatów i wniosków Kongresu Kultury Polskiej. Jak przebiegała ta realizacja i jakie są praktyczne efekty współpracy międzyresortowej w tej dziedzinie?

— Segregacja wniosków została przeprowadzona według adresatów, zagadnień i w miarę możliwości terminowości ich załatwiania. Kryterium pilności załatwienia niektórych wniosków nie zawsze niestety idzie w parze z realnymi aktualnie możliwościami ich realizacji. Np. wnioski dotyczące szybkiej poprawy bazy lokalowej gromadzkich bibliotek publicznych i kin wiejskich są słuszne, ale ich załatwianie wymaga dłuższego czasu.

Z wielu zainteresowanych resortów, instytucji, organizacji i towarzystw, którym wnioski zostały przekazane do rozpatrzenia, otrzymaliśmy informacje o zajęciu stanowiska wobec otrzymanych wniosków bądź ich realizacji. Na przykład minister przemysłu ciężkiego poinformował o podjęciu badań socjologicznych w Kombinacie Górniczo-Hutniczym w Lubinie, gdzie powołano dział ekonomiki; minister zdrowia i opieki społecznej o podjętych, prowadzonych i planowanych pracach w dziedzinie oświaty sanitarnej na wsi CZUPiK „Ruch" o porozumieniu zawartym z min. kultury i sztuki w sprawie zabezpieczenia możliwości zakupu książek dla klubów „Ruchu" na wsi itp.

Wiele wniosków o szerszym charakterze i bardziej zasadniczym znaczeniu jest opracowywanych w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego oraz w Komisji Planowania. Część wniosków adresowanych do resortu Kultury i Sztuki jest już zrealizowanych. Tak więc uregulowano podstawy i określono zasady współdziałania MKiS z GKKPiT w dziedzinie prawidłowego wykorzystania bazy obydwu resortów, wspólnego programowania pracy wychowawczej i lepszego gospodarowania środkami finansowymi. Zgodnie z postulatami wnioskodawców przyspieszono prace nad podniesieniem sprawności techniczno-produkcyjnej i poszerzeniem bazy przemysłu poligraficznego oraz polepszeniem gospodarki papierem. Dla należytego uprofilowania planów wydawniczych udostępniono te plany księgarzom i bibliotekarzom.

Na podstawie ich opinii dokonano korekty szeregu zamierzeń wydawniczych, podnosząc nakłady niektórych książek albo wprowadzając do zadań planowych wznowienie niektórych pozycji.

Wiele wniosków kongresowych realizowanych jest przez rady narodowe. Do szczególnych inicjatyw rad narodowych w tej dziedzinie zaliczyć należy wysiłki na rzecz nowych inwestycji kulturalnych. W Koszalinie np. wprowadzono do planu na bieżącą pięciolatkę budowę Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, w Krakowie budowę w czynie społecznym Powiatowego Domu Kultury w Myślenicach, a we wszystkich województwach planuje się dalszy rozwój klubów.

Kongres stosunkowo dużo uwagi poświęcił sprawie współdziałania władz terenowych z instytucjami i organizacjami społecznymi. Jaki oddźwięk w tak szeroko pojętym mecenacie społecznym nad różnymi formami pracy i twórczości kulturalnej znajdują wśród zainteresowanych tezy Kongresu i jakie sugestie wysuwają w tym zakresie robocze sekcje Rady Kultury i Sztuki?

— Mimo postępu, jaki zarysował się we wspomnianym współdziałaniu, występuje tu jeszcze wiele niedostatków. Ten fakt oraz wnioski kongresowe skłoniły Centralną Komisję Koordynacyjną d/s Upowszechniania Kultury do podjęcia specjalnej uchwały kierunkującej współdziałanie zainteresowanych instytucji i organizacji w rozwoju i upowszechnianiu kultury. Problemy te znalazły szerokie odbicie na licznych sesjach rad narodowych organizowanych już po Kongresie. Na podkreślenie zasługuje powołany do życia w woj. kieleckim Fundusz Rozwoju Kultury.

Do problemów i wniosków Kongresu Kultury Polskiej nawiązuje także w swojej pracy Rada Kultury i Sztuki. Wprowadziła ona do planu m. innymi rozpatrzenie problemów rozwoju kultury w planie perspektywicznym do roku 1985, sprawę pielęgnacji i upowszechnienia folkloru, planu wydawniczego na lata 1968-69 i planu perspektywicznego w zakresie literatury pięknej, stanu badań nad problematyką wolnego czasu i kierunki rozwoju badań nad tym problemem, współczesnego mecenatu przemysłu w zagospodarowaniu zabytków.

Spodziewamy się, że wiele problemów i wniosków Kongresu Kultury objętych będzie obradami i uchwałami Kongresu CRZZ. Związki Zawodowe są głównym ogniwem społecznego ruchu kulturalnego, prowadzą wielostronną i rozległą działalność oświatowo-kulturalną i podejmują we współpracy ze związkami twórczymi różne inicjatywy o poważnym znaczeniu dla rozwoju i upowszechniania literatury i sztuki. Dlatego też dalszy współudział związków Zawodowych i całego społecznego ruchu kulturalnego jest w realizacji wniosków i w twórczym rozwijaniu ogólnego dorobku Kongresu Kultury Polskiej tak nieodzowny i potrzebny. Tak samo liczymy w tym również na udział środowisk twórczych, naukowych, dziennikarskich i szerokiego frontu działaczy kultury.

rozmawiał: STEFAN HENEL

KONIEC ROKU SZKOLNEGO

Już dziś opustoszeją mury szkolne...

Fot. M. KOPEC

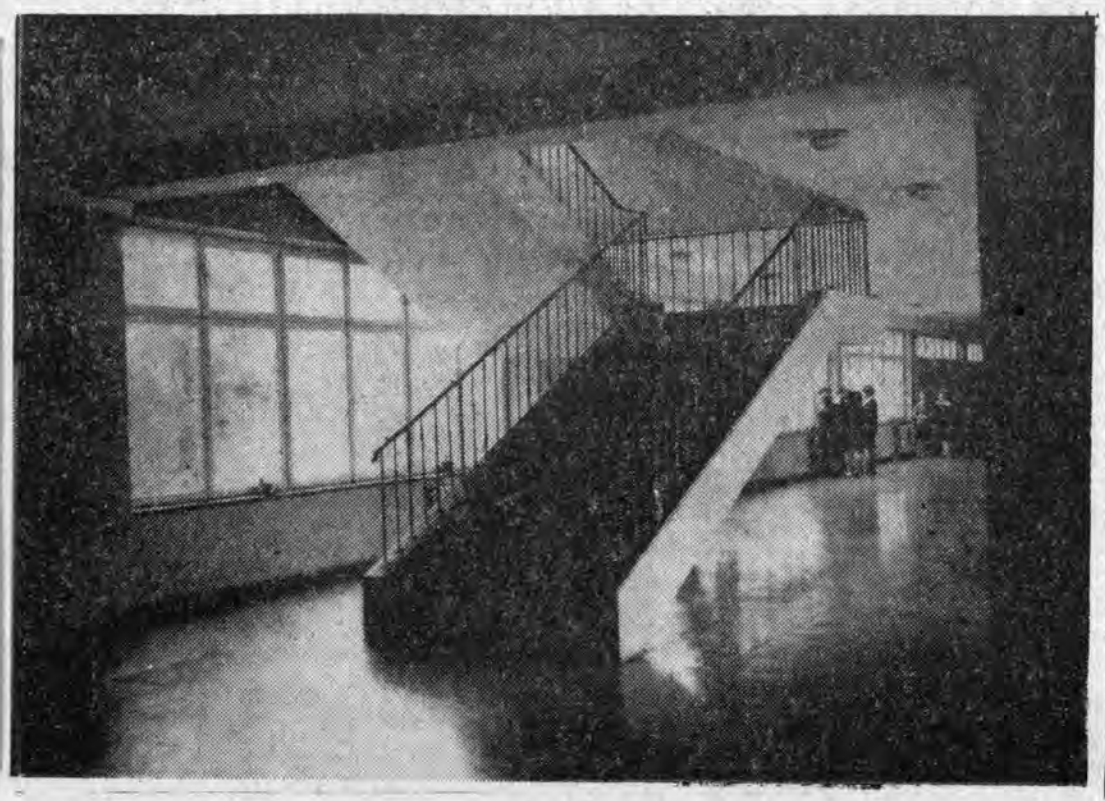

Krystyna Świerczewska

MIASTO DOBRYCH NADZIEI

MIASTO, W KTÓRYM żyjemy i którego nie znamy — tak także mogłyby się nazywać te rozmyślania. Rozmyślania o ludziach, o domach, o drzewach przed własnym oknem, o placu targowym, teatrze, sali koncertowej. O przyjaciołach i wrogach w nim usytuowanych. O urodzie miejsc — o brzydocie zakątków. O pięknej imprezie — o zmarnowanych pieniądzach. Miasto — organizm pysznie żywy, nienasycony w inicjatywach, rozrastający się jak krzew, osadzony w przyrodzie ręką człowieka nie zawsze przewidującego, ale nieustannie dążącego do doskonałości.

Dziennikarz miejscowy nie pisze o nim reportażu, bo temat wydaje mu się bądź banalny, bądź niemożliwy do realizacji. Dziennikarz z Warszawy obleci kilkanaście ulic w kilkanaście godzin, poduma nad krzaczkiem, porozmawia kilkanaście minut z władzą, godzinkę poświęci mieszkającym tu znajomkom, oburzy go blok kilkadziesiąt centymetrów odchylony od pionu, olśni piękno odrestaurowanego zabytku zdumieje dzielnica, której kiedyś nie było — reportaż ma gotowy. Często uchwycił klimat, złapał za rogi interwencyjną sprawę, znalazł niepospolitego informatora. I nic to że klimat to raczej jego wrażliwość stworzyła, że sprawa wymagająca interwencji akurat jest równiutko tysiączną i pierwszą w kilku tysiącach spraw nadających się do interwencji, że właśnie niepospolitość informatora odbiera jakąkolwiek typowość jego wypowiedziom. A my sobie czytamy te reportaże o Rzeszowie i zdumienie w nas rośnie gigantyczne — że miasto z reportaży ma być tym, w którym żyjemy, zdawało nam się — znamy, lubimy czy nie — to już do rzeczy nie należy, choć organizmowi żywemu afekt jego mieszkańców bynajmniej nie jest obojętny. Myślę, że pożyteczny byłby to zabieg, gdybyśmy my — dziennikarze z Rzeszowa zrobili kilka reportaży o Rzeszowie. Myślę, że bardzo odważny byłby to wyczyn, gdybyśmy my właśnie takie reportaże pisać chcieli. Bo jak pisać o mieście, które się zna na wylot i w którym wszystkie sprawy wydają się ważne, niecierpiące zwłoki? Jak selekcjonować materiał? Jak postępować z tłumem informatorów, którzy mają do powierzenia nam swoje problemy.

Rozmyślam przeto o mieście i nie pisząc wprawdzie reportażu, nie mogę pozbyć się obsesji szukania reportażowych klimatów, czy wtrącania dziennikarskiego nosa w drzemiące stawy spraw, które by zburzyć trochę się zdało. Że je znam nie od dziś? Kiedyś wszak trzeba mówić i o tych znanych...

Lata nas dzielą od cynicznych uśmieszków pod adresem Rzeszowa — miasta wojewódzkiego. Lata i te niebagatelne 40 tysięcy ludzi, których w tych latach przybyło. Lata — od debat: nad Sanem — li czy też nad Wisłokiem stolica stanie. Wbrew krajobrazowi stanęła nad Wisłokiem i jak raczkujący dziwoląg wypełzała poza XVII-wieczną oś Zamek — urządzenia klasztorne Pijarów — kościół farny. Zdarzały się w okresie niepewności raczkującego tworu rzeczy dziwne architektonicznie, jak ulica śródmieścia z talerzami cepeeliowskimi, mimo to z zapleczem nawet po renowacji cuchnącym, ale wszak zawsze mszczą się stare grzechy, w tym wypadku podstawowy — przeforsowanie projektu o pozostaniu na starych śmieciach, wyburzaniu, korygowaniu, porządkowaniu. Nie budowało się wtedy nowego miasta; zakładało, że Rzeszów długo pozostanie zaledwie kilkudziesięciotysięcznym ośrodkiem. Dziś budujemy inaczej: za 8 lat bowiem miasto ma być 160-tysięczne, w planach długofalowych — 450-tysięczne; budujemy przeto tak, by zawsze można je było uplasować wedle dwóch koncepcji planów przyszłościowych: pierwszego tego, który rozmieszcza organizm miejski w układzie pasmowym wzdłuż linii kolejowej Boguchwała — Rudna Wielka, drugiego — który przewiduje wchłonięcie pod zabudowę terenów Słociny, Matysówki i Wilkowyi, a więc o układzie wschód — zachód. Zastanawiamy się nad rolą centrum, nad osiedlami o zindywidualizowanym wyrazie, nad więzią środowiskowo-zawodową takiego mikroorganizmu, nad wygodą i spokojem mieszkańców. I nad pięknem architektonicznym, które ze szpetnego eklektyzmu stylów mądrze ma szansę się objawić. Architekci myślą nad małą architekturą — międzyosiedlową, nad kolorystyką, zewnętrznym wystrojem i... architekci wskazują na rolę plastyki, czyli więź dwu zawodów. Tym samym zmuszają nas z kolei do przemyślenia roli owych twórczych środowisk, z których jedno i drugie ekspansywnie chce działać na zmysł estetyki mieszkańców, szerzej — na kulturę miasta.

Zastanawiając się nad ludźmi, którzy tworzą miasto, zaczęłam od tych, których najłatwiej nam oceniać na co dzień, bo architektura — to chyba jedyna ze sztuk o tak bardzo widocznych skutkach społecznego działania, dzięki swojej użytkowej funkcji. Architekci bowiem komponują pejzaż naszej codzienności. Jeśli ta zaś ma być powabna, nie tylko właśnie w funkcji użytkowej konieczna jest korelacja z plastyką; dotychczas tak znikomo stosowana w urbanistyce Rzeszowa. Szarość kamiennych brył, pogarda dla kolorów lub kolorystyka spod znaku maszkarona — oto co kłuje w oczy i pozostaje w dysproporcji z rozumieniem sztuk plastycznych wśród społeczności miejskiej.

Mieszkaniec Rzeszowa z roku 1956 nie oglądał wystaw plastycznych, wykrzywiał się na twórczość Grupy XIV (swoją drogą, jakież to dziś wspomnienie!). Prężność środowiska rzeszowskich plastyków nie tylko przełamała te opory, ale wykształciła grupę koneserów, którzy dziś wybrzydzając, czynią to w imię reguł estetycznych. Zarysowała się mądra współpraca rzeszowskiego ZPAP z władzami miasta i przyniosła w ciągu 4 lat plon czterech konkursów o tematyce rzeszowskiej, powoli znika koszmar reklam ulicznych, wystawy BWA nie tylko mają zwiedzających, lecz nawet garstkę wernisażowiczów, którzy do dobrego tonu zaliczają własną obecność na ich otwarciach, działa wreszcie ognisko plastyczne, tak brzydko kiedyś zaprzepaszczone niedołęstwem organizatorów, myśli się nad współpracą ze szkołami (oby nareszcie rzecz wyszła poza krąg przemyśleń!), następuje coraz gwałtowniejsza penetracja terenu poprzez wystawy objazdowe, plastyka wkracza do zakładów pracy (na razie nieśmiało, ale czyż nowiciusza ten afekt nie cechuje zawsze?), układa się współpraca z WKZZ, która samym plastykom daje najwięcej — myślę o pięknie organizowanych plenerach, słowem — ekspansja na społeczeństwo miasta wydaje się duża i nie podlegająca dyskusjom. Zabytkowa synagoga, pomyślana w założeniu jako dom pracy twórczej — dziś w całości podlega rządom ZPAP i BWA — dając tej ekspansji i bazę, i bodźce zupełnie realne.

Takie oazy sztuki i kulturalnego działania w życiu miasta przyjdzie nam uznać zawsze za najważniejsze. Ileż ich bowiem mamy? Nie tak bardzo wiele, by nie można było wymieniać: muzeum, biblioteki, teatry, 3 domy kultury i budujący się gmach Filharmonii im. A. Malawskiego oraz projekty, projekty, projekty. Pyszne, ambitne, oczekiwane, konieczne.

Trzy domy kultury; ktoś zapyta: gdzie ten trzeci? Jest, i nazywa się Młodzieżowy Dom Kultury. Działa w ubożuchnym pomieszczeniu, robi, co może (a niewiele może) i przypomina ubogiego kopciuszka innych Pałaców Młodzieży. Dobrze, że choć taki; źle, że aż taki — w sumie więc źle, bo wszyscy zdajemy sobie sprawę z wagi oddziaływania kulturalnego na dzieci i młodzież. W dwóch pozostałych, baza wygląda nieco lepiej; z nadbudową rzecz ma się różnie. Nie jest tajemnicą żadną, że Dom Kultury WSK ma dobre wnętrza, ciekawe imprezy i... minimalne oddziaływanie na własne fabryczne środowisko; środowisko strukturalnie, na pewno nie najłatwiejsze, jeśli przyjmiemy, że co najmniej połowa pracowników WSK — to ludzie dojeżdżający z okolicznych wsi, a więc najtrudniejszy element chłopo-robotniczy. Nie jest także tajemnicą, że dział metodyczno - instruktażowy WDK — to jego pięta Achillesa, że łatwiej zorganizować mu pracę we własnym środowisku, gdzie zażywa dziś renesansowej niemal popularności niż ustawić ją dobrze w PDK powiatowym. Walimy w pedzie i nabożnym zachwycie dla jego sprawności na „Czterech pancernych i psa", podziwiamy znakomite efekty w popularyzacji te-

CIĄG DALSZY NA STR. 2

DOKOŃCZENIE 1

gorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy, gdzieś nam tam kołacze w pamięci sukces jego zespołu w Agrigento, ale... teren czeka. I teren doczekać się powinien wszystkiej należnej mu pomocy. Rola kulturotwórcza Wojewódzkiego Domu Kultury jako ośrodka poważnie rzutującego na województwo jest bowiem bezsporna.

To samo możemy powiedzieć o dwóch teatrach rzeszowskich i Estradzie, suma bowiem bez mała pół miliona widzów, którą obejmują dorocznie swym zasięgiem jest ilościowo rzeczywiście potężna. I tak się dzieje, że najskromniejszy i najmniej może dostrzegany „Kacperek" robi swoją robotę artystyczną w gronie widzów najliczniejszym, w roku 1965 bowiem oglądało go aż 185 371 widzów, podczas gdy Teatr im. W. Siemaszkowej docierający do ponad 50 ośrodków województwa, miał wtedy na swym koncie 134 285 widzów, a Estrada 154 582 widzów; w rok później Teatr im. W. Siemaszkowej planuje ekspansję na 140 tys., kiedy „Kacperek" ma realnie osiągniętych już 151 620, a Estrada wykazuje zupełnie wyraźny spadek do 101 081 widzów. Pozbawiony przez długi czas sali prób „Kacperek" dziś ma sytuację pod tym względem wyjaśnioną, otrzymał bowiem własne locum; zdwoił przeto ambicję i w najbliższym czasie jego plany repertuarowe przewidują atak na widza dorosłego, choć w dalszym ciągu brak stałej sali widowiskowej i gościnne podróżowanie po tejże WDK-u czy kina „Świt" i „Żaczek" wcale tej pracy mu nie ułatwiają. Tendencja zniżkowa w ilości widzów Estrady tkwi na pewno w niedoskonałości artystycznej wielu imprez — z jednej strony; z drugiej — w braku sali widowiskowej na kilka tysięcy miejsc, która byłaby w stanie pokryć koszty wielu zagranicznych imprez, jakie dotychczas na ogół przynoszą deficyt, czasem sięgający kilkudziesięciu tysięcy.

Omawiając w ten sposób ekspansję ośrodków kulturotwórczych na rzeszowskie środowisko dotarliśmy zresztą do problemu miejskiego, który stanowi jedną z trzech głównych trosk władz miasta. Niechętnie bowiem jeździmy do Mielca na „Mazowsze" czy „Śląsk", niechętnie słuchamy o takich efektach Estrady, że zakupiono od „Pagartu" „Trio Terierrs" za 20 tysięcy złotych, a więc podobno niedrogo, przynosi z powodu braku odpowiedniego miejsca do eksploatacji imprezy jednorazową stratę wpływów w wysokości 40 tys. zł... Inwestycja ta wymagająca co najmniej 80 mln zł nie figuruje jednak w planach państwowych. I to jest pierwszy problem na liście palących potrzeb — brak sali sportowo-widowiskowej, na którą zresztą zebraliśmy około 1,5 mln zł, ale która, niestety, poza sferę projektów nie wyszła.

Drugi, omawiany nie od dziś, postulowany przed dwoma laty na XII Konferencji KM PZPR dotyczy opuszczenia Zamku przez jego, trzeba przyznać dość specyficznych, dotychczasowych użytkowników oraz zaadaptowanie go na cele kulturalne. Komisja Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej — także gorąca zwolenniczka tego projektu,

MIASTO DOBRYCH NADZIEI

również wysunęła przed miesiącem taki postulat; Ministerstwo Sprawiedliwości zaś wystąpiło z pismem do MRN o zarezerwowanie terenu pod budowę kompleksu gmachów dla organów sprawiedliwości. Coraz powszechniejsza opinia środowiska czyni z „problemu Zamek" sprawę o wadze wojewódzkiej, która jak najszybciej winna doczekać się pozytywnego rozwiązania.

I byśmy już mieli poza sobą trzecie, a moim zdaniem najbardziej palące zagadnienie, nie mogę nie wspomnieć o warunkach pracy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Przeładowanie, ciasnota, grożące zawaleniem stropy, zamknięta przez inspektora bhp Czytelnia Wojewódzka w mieście dwóch wyższych uczelni, w ośrodku promieniującym metodyką na sieć, jedną z najlepszych w kraju, bibliotek powiatowych i gromadzkich — oto bilans na pewno nie dający powodu do uspokojenia. Nie weszła ta inwestycja, mimo licznych dezyderatów do obecnej 5-latki; przeprowadzona lokalizacja i częściowa dokumentacja daje podstawy do nadziei, że następna 5 latka ów tytuł inwestycyjny obejmie. Bo objąć musi. Bo jest on, powtarzam, problemem nr 1 rzeszowskiego środowiska kulturotwórczego.

Jak już wspomniałam w pierwszych rozmyślaniach o mieście, podlega to środowisko przeobrażeniom nader interesującym i na pewno pozytywnym. Z każdym rokiem zmienia się jego struktura wewnętrzna — przybywa inteligencji, powiększają się zawodowe grupy twórcze, rozrasta ich wpływ na otoczenie. Istnieje dość powodów do zadowolenia z efektów działalności różnych grup zawodowych, skupionych w obrębie miasta, grup, które śmiało możemy nazwać inspiratorami życia kulturalnego nie tylko w samym mieście, ale także w całym województwie, co w końcu czyni z Rzeszowa ośrodek wojewódzki, promieniujący swoją działalnością na najodleglejsze powiaty. I a contrario — istnieje powód do przemyślenia wagi społecznych inicjatyw tych środowisk, korelacji tych inicjatyw, koordynacji działań, bo nie zawsze wygląda ona tak, by istniał powód do zadowolenia.

Pisałam o potrzebie połączenia wysiłków w dziedzinie współpracy międzyśrodowiskowej samych działaczy kultury, by nie zdarzały się takie fakty, że np. rady zakładowe w mieście — zasadniczy przecież dysponenci środkami finansowania działalności kulturalnej — poruszały się w próżni, uprawiały przysłowiowy wolterowski ogródek, narzekając na ten najlepszy ze światów. Jesteśmy zgodni bowiem co do tego, że istnieje ogromna rozbieżność między ich możliwościami finansowymi a umiejętnością organizowania życia kulturalnego, ze często brak właśnie tam, gdzie leżą złotówki, źródeł mądrej inspiracji. By nie być gołosłowną przytoczę niezbyt budujący przykład: inicjatywa KM PZPR w Rzeszowie, by Miejska Komisja Związków Zawodowych podjęła wspólny trud analizy dotychczasowych wydatków na pracę kulturalną — właściwie spełzła na niczym, MKZZ bowiem wyszła z szekspirowskich niemal założeń, że reszta (po wysłuchaniu propozycji) jest li tylko milczeniem. A musimy zdać sobie sprawę, że wielość form pracy, jaka stoi właśnie przed radami zakładowymi wpływa na ogólną kulturę miasta, na prężność jego kulturalnych inicjatyw. I źle to zupełnie, że inna mądra propozycja, jaka wyszła przed dwoma laty od Wyższej Szkoły Pedagogicznej połączenia swojej pracy z dziesięcioma zakładami przemysłowymi, które by pracę tę finansowały — rozwiała się po pierwszym i jedynym spontanicznym zrywie, mając przecie perspektywy dobre, klimat sprzyjający, i pierwsze pozytywne efekty. Dziś rzecz wygląda tak, że owe zakłady, zrażone brakiem ciągłości współpracy, powróciły do starych form działania w obrębie własnego ogródka, WSP zaś zamknęła we własnymi środowisku, ograniczona możliwościami finansowymi, praktycznie sama wyrzekła się jakichkolwiek wpływów na społeczeństwo rzeszowskie. A dzieje się to w okresie, kiedy każdą jaskółkę takiej współpracy witamy, jako inicjatywę sensowną i pożądaną! Kiedy wyższe uczelnie są naszą dumą, kiedy poprzez filie powiatowe oddziaływują na województwo nader silnie, kiedy mówi się z wielkim uznaniem o ich kontaktach naukowych z przemysłem rzeszowskim (że wspomnę bodaj jako przykład piękne wyniki współpracy w zakresie technologii produkcji WSI z Fabryką Porcelany w Boguchwale).

Toteż kiedy rozmyśla się nad społeczną inicjatywą środowisk miejskich, musi się dostrzec także i dysproporcje między środkami a wykonaniem, między możliwościami a efektami; musi, z konieczności, przypomnieć dalekie paralele z tą samą inicjatywą w małych, biednych ośrodkach wiejskich, gdzie, często paru zaledwie entuzjastów podejmuje trud ożywienia życia kulturalnego z pięknymi rezultatami. Musi zobaczyć czasem zachwiane proporcje między stworzoną atmosferę a nikłym działaniem, gdzie, znowu nie chcąc być gołosłowna, przypomnę o zawiązaniu się Klubu Związków Twórczych przy pełnym poparciu ze strony miasta i przy żadnej jego działalności dotychczasowej. Dlatego muszę umieścić ten stan rzeczy między inercją tych środowisk a niechęcią do konkretnego współdziałania.

Bardzo niedawna sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej, poświęcona zagadnieniom kulturalnym przyniosła wiele mądrych inicjatyw; przygotowywane obecnie plenum KM PZPR obejmie również szeroki front zagadnień kulturalnych. Śmiem twierdzić, że to zainteresowanie kulturą, która przestaje być fryzem ozdobnym naszego życia, stanowiąc dziś jego treść, stwarza niepowtarzalny klimat dla wszelkiego działania, nie polegającego, jak wielu to mylnie osądza, na zasobności bazy, ale na bogactwie społecznych inicjatyw. One bowiem plasują się na pozycji przysłowiowego spiritus movens, one tępią bierność, konsumpcyjne nastawienie odbiorcy, one eliminują najgorsze wzory źle pojętej kultury masowej, likwidując zbędne przymiotniki obok pojęcia dostatecznie przepełnionego wartościową treścią.

Tak sobie tedy rozmyślając o mieście, w którym żyjemy i którego często nie znamy, o mieście, które wyrasta nam pod okiem na prawdziwy ośrodek kulturotwórczy, dostrzegamy nie tylko dotychczasowy jego rozwój materialny, lecz przede wszystkim klimat dobrych nadziei, płynący z wewnętrznych przekonań ludzi miasto tworzących.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Zdzisław Kozioł

INICJATYWY

Młody chłopiec, uczeń szkoły podstawowej w czasie zabawy poniósł śmierć; jednym uderzeniem ręki zabił go jego kolega... Nieszczęśliwy wypadek? Rozpatrując ten dramat indywidualnie można go zaliczyć do nieszczęśliwych wypadków, ale trzeba uwzględnić wysoce niepokojącą tendencję, a mianowicie wzrastającą liczbę przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu. Diagnozy zjawiska bywają różne: mówi się np. o sadyzmie młodzieńczych grup, względnie o energii nagromadzonej pod wpływem różnych zewnętrznych bodźców, która wyzwala się nieoczekiwanie w postaci gwałtownych, lecz odruchowych czynów. Tysiące razy w najgorszym wypadku kończy się siniakiem, ale niekiedy kalectwem lub śmiercią...

Do prawd banalnych należy twierdzenie, że znajomość źródeł trudności wychowawczych jest wstępnym warunkiem akcji profilaktycznej, jednak wiedza o tych problemach jest w społeczeństwie niedostatecznie upowszechniona; w zasadzie znamy sporo faktów, znamy wskaźniki obrazujące wzrost przestępczości, jednak przyczyny nie są dostatecznie poznane.

Dla uniknięcia nieporozumień chcę podkreślić, że celowo zacząłem od wypadków tragicznych, ale przecież nie wiemy, czym może się skończyć pozornie drobna sprawa. Np. uczeń dopuścił się błahego wykroczenia, lecz w toku dochodzenia popełnił samobójstwo. Przeraził się czekających go konsekwencji? Nie wiem. Nie obciążam nikogo odpowiedzialnością za tę śmierć; podkreślam jeszcze raz — pozornie drobne sprawy przybierają niekiedy tragiczny obrót. Skoro wspomniałem o samobójstwie, to dodam, że ostatnio zanotowano w kraju około 1000 targnięć na własne życie, z których blisko 100 było udanymi. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności należy przypisać, że pozostali młodzi ludzie, w tym także dzieci, zachowali życie...

Szukając przyczyn trudności wychowawczych, stwierdzono, że istnieje ścisła współzależność między sytuacją rodzinną i środowiskową dziecka a jego zachowaniem. Najczęściej w kolizję z prawem popadają dzieci z rodzin rozbitych, zdemoralizowanych lub pozostających w trudnych warunkach materialnych, spowodowanych np. alkoholizmem lub brakiem stałego zajęcia rodziców. Fragmentaryczne badania

Maria Cecylia Guziołek

GDZIE JESTEŚ PIOSENKO?

W czasie trwania festiwalu piosenki w Opolu, pytanie zawarte w tytule wydawać się może co najmniej dziwne. Dziwne tym bardziej że od szeregu lat na brak urodzaju na niwie piosenkarskiej nie możemy narzekać. A jednak jest dziedzina, o której twórcy muzyki lekkiej i rozrywkowej bądź zapomnieli, bądź ją ignorują, goniąc za szybką, a jakże często tylko błyskotliwą i krótkotrwałą sławą. Mimo tej pogoni, następcy Andrzeja Własta chyba do dziś nie ma na naszym piosenkarskim firmamencie.

Nie dyskutując, jaki jest obecny nasz stan posiadania w poszczególnych działach twórczości piosenkarskiej, trzeba jednak stwierdzić: kompozytorzy, jak i autorzy tekstów nie przyjmują do wiadomości, że spośród konsumentów muzyki rozrywkowej 50 proc. to „ludzie niezakochani i niezawiani" — przeciwnie niż w piosence, lecz młodzież, ta ze szkół i liceów, nastolatki i często ich rodzice, bo już studenci są osobnym klanem, pasjonującym się piosenką poetyckiego kabaretu politycznego, zaangażowanego społecznie. Ich ideałami są Młynarski, Osiecka, poetycki repertuar Demarczyk z muzyką Koniecznego, ballady Chyły itp.

W skrócie przytoczony „margines" — jak widać jest bardzo szeroki. Dlatego dzisiejsze rozważania chcę poświęcić właśnie tym 50 procentom odbiorców — słuchaczom i potencjalnym wykonawcom piosenek, tych zwykłych do nucenia na co dzień. Skłoniło mnie do tego przysłuchiwanie się po raz trzeci z rzędu finałowi Harcerskiego Festiwalu Piosenki, który tradycyjnie odbył się 17 bm. w Przemyślu.

Cenna jest inicjatywa Komendy Chorągwi Rzeszowskiej Związku Harcerstwa Polskiego powołania festiwalu i prowadzenia go z iście harcerską wytrwałością przez lat siedem, bez jakiejkolwiek pomocy instruktażowej i nikłej — finansowej. U jego podstaw leży założenie rozspiewania młodzieży, przyzwyczajenie jej do bywania z muzyką na ty.

Nazwa festiwalu jednoznacznie określa rodzaj piosenek, które faworyzuje impreza. A więc wszystkie piosenki, które ZHP może przyjąć za własne, zgodnie z wiekiem i psychiką młodych obywateli od lat naście do ...dwudziestu kilku. Nie jest to bowiem festiwal h a r c e r s k i e j piosenki, lecz piosenki młodzieżowej, o r g a n i z o w a n y przez harcerstwo.

Wydawałoby się, że po sześciu latach, powyższe wykładanie „kawy na ławę" nie jest potrzebne. Nic mylniejszego! Oto mała próbka repertuaru 14—15-latków, przedstawionego na VII festiwalu: „Wiedz o mnie wszystko", „Serwus panie cheef", „Był taki ktoś", „Nie pukaj do mych drzwi", „Duży błąd", „Ja nie jestem taka mała"... Chęć imponowania „znajomością życia" jest cechą charakterystyczną dla „zielonych lat", więc do wykonawczyń tych „wzniosłych" piosenek nie mam pretensji. Po prostu trzeba wysunąć wnioski i to m. in. takie, że zespoły i soliści nie dość uważnie lub wcale nie czytali regulaminu harcerskiego festiwalu, w którym wyraźnie podkreślono, że „piosenka ma spełniać rolę wychowawczą, a równocześnie bawić i być zgodna z wiekiem wykonawcy", i dalej „W doborze repertuaru piosenkarz powinien kierować się programem ognisk harcerskich, kominków i imprez młodzieżowych".

Dalszy wniosek to ten, że harcerski tygodnik „Na przełaj" bezkrytycznie popularyzuje tak zwane szlagiery nie mające nic wspólnego z pracą wychowawczo-oświatową ZHP. Stosując taryfę ulgową tylko 1/3 publikowanych tam utworów nadaje się do repertuaru młodzieży w wieku harcerskim. Również instruktorzy zapomnieli, że radiowy program „Popołudnie z młodością" przeznaczony jest dla „młodości" bardzo szeroko pojętej, raczej dla nastolatków — super starszaków, więc piosenki trzeba wyselekcjonować i kandydatom na uczestników festiwalu polecić tylko wartościowe, dla nich właściwe i godne jak najszerszej popularyzacji.

Harcerski Festiwal Piosenki jest imprezą uroczą i warto go kontynuować. Trwa wystarczająco długo, by móc zsumować błędy i energicznie dążyć do wyeliminowania ich w następnych świętach piosenki, a w przygotowaniu kolejnego festiwalu skoncentrować wysiłek i uwagę na konsekwentnej realizacji pożytecznych i wychowawczych założeń. Tu Komenda Chorągwi ZHP nie może jak dotąd działać w osamotnieniu. Pomoc finansowa WKZZ i Wydziału Kultury Prez. WRN oraz instruktażowa Kuratorium Okręgu Szkolnego oraz Polskiego Radia w Rzeszowie, które to instytucje festiwal współfirmują wydaje się sprawą pilną i konieczną.

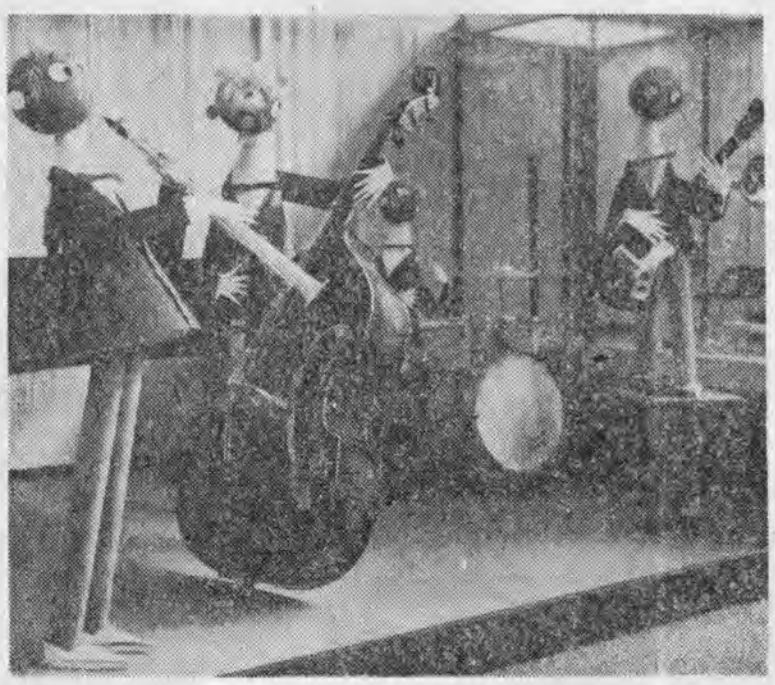

CAF — FOT. Z. WDOWIŃSKI

Związek Harcerstwa Polskiego liczy w naszym województwie ponad 100 tysięcy członków. Nęcąca to liczba i gromadka warta chyba każdego trudu, by pomóc jej zdobyć umiejętności życia z piosenką, uczynienia z biernych i bezkrytycznych odbiorców piosenki, piosenkarzy — koneserów.

Z okazji festiwalu kilka słów należy się jeszcze zespołom instrumentalno — wokalnym, które przecież powinny również służyć rozśpiewaniu młodzieży.

W naszym województwie zespoły te utkwiły na etapie big-beatu sprzed co najmniej pięciu laty, kiedy muzykę i słowa zastępował chór decybeli i uważają nadal im głośniejszy ryk tym ładniej. Powiedziałabym raczej... tym łatwiej (!) zatuszować niedostatki wykonawcze instrumentalistów i wokalistów. Dziś big - beat to jedna z form prawdziwej muzyki i chętnie słucha się i podziwia kulturę muzyczną m. in. krakowskich „Skaldów" i gdańskich „Czerwonych gitar" (szczególnie na płytach). W ich wydaniu rytm i mocne uderzenie towarzyszą tekstowi, muzyka i słowo tworzą harmonijną całość.

Rozpoczyna się sezon obozów wędrownych i stałych. Dobry okres, by wspólnie przemyśleć i przedyskutować oraz przygotować się do VIII Harcerskiego Festiwalu Piosenki. Za start bowiem do nowej imprezy dobrze uznać niedawny finał ostatniego festiwalu. Proszę start, zaczynamy!

Skąd czerpać repertuar, gdy wymagania organizatorów tak wysokie? Wystarczy po harcersku nastawić uszy i pilnie słuchać. Młodzieżowe piosenki w typie harcerskim są i powstają coraz to nowe, wcale niebrzydkie. Trzeba je tylko chcieć znaleźć. Z tymi piosenkami to tak, jak śpiewały w Przemyślu leżajskie „Anonimki" — „Szukajcie nas...!"

Z TRUDEM REALIZOWANE

potwierdzają twierdzenie, że szczególnie niebezpiecznym dla zdrowia psychicznego dziecka jest rozkład pożycia małżeńskiego; jaki odsetek wspomnianych usiłowań samobójstw jest właśnie spowodowany tą przyczyną?

Zwróćmy jednak uwagę na inny aspekt zagadnienia. Analizując sytuację rodzinną dzieci i młodzieży wykolejonej lub na razie tylko trudnej podkreśla się, że często rekrutuje się ona z rodzin dobrze sytuowanych. Spostrzeżenie ważne, ale co dalej? Przecież zamożność społeczeństwa będzie wzrastać. Co w ogóle znaczy „rodzina zamożna"? 80 proc. klientów jednej z poradni wychowawczo-zawodowych — to dzieci obojga rodziców pracujących. Prawdopodobnie wiele z tych rodzin posiada nie najgorsze warunki materialne, ale ich dziećmi nie ma się kto zajmować. Dla takich rodzin niezbędna jest pomoc, głównie w postaci rozszerzania funkcji opiekuńczej szkoły; potrzebne są świetlice, półinternaty, przemyślany program zajęć pozaszkolnych.

Jest jednak inna kategoria rodziców. Słyszałem kiedyś o studencie, który od rodziców otrzymuje miesięcznie 2 tys. zł, bez obowiązku informowania o sposobie wydawania tej kwoty. Po skończeniu studiów będzie zarabiał 1300—1500 zł miesięcznie... Jaki z tego już zblazowanego chłopca wyrośnie obywatel? Inny przykład: uczeń szkoły średniej jest tak dobrze sytuowany, że stać go było na upicie winem pół klasy...

Mówiliśmy kiedyś o młodzieży złotej, teraz ktoś nazwał ją bananową. Nie o nazwę chodzi, lecz źródła tego zjawiska. Czy winić trzeba wyłącznie rodziców? Odpowiedź na to pytanie nie jest bynajmniej prosta. Takie zresztą postawienie kwestii może prowadzić do taniej demagogii, a przecież chodzi tu o poważny problem wychowawczy. W moim przekonaniu najgorsze jest chyba to, że w wielu kręgach wspomniana młodzież nadaje ton, wyznacza sposób bycia, lansuje wzory życiowe. Dla przeciwdziałania konieczny jest program pracy wychowawczej, powiedziałbym pracy ideowo-wychowawczej.

Ten wymóg jest dostrzegany przez propagandystów i wychowawców; szczególnie po ostatnim Plenum KC Partii sporo się o nim dyskutuje, lecz z trudem rodzą się p r a k t y c z n e środki zaradcze, skuteczne dla danego środowiska.

Wydaje mi się, że jednak ostatni rok był owocny w różnorodne inicjatywy. Przede wszystkim zapoczątkowano tworzenie organizacyjnych ram dla połączenia różnorodnych poczynań wychowawczych w skonsolidowany, społeczny front wychowawczy. W poszczególnych regionach uczyniono już wiele w zakresie poszerzenia form opieki nad dziećmi i młodzieżą; rzecznikiem spraw młodego pokolenia stają się komisje przy komitetach Frontu Jedności Narodu, które usiłują jednoczyć rozproszone wysiłki organizacji i instytucji, a także — co jest bardzo ważne — stwarzają możliwości dla skutecznej działalności społecznej ludziom chcącym dla dzieci i młodzieży pracować.

Miały ją podjąć szkolne lub międzyszkolne komisje wychowawcze, powoływane zarządzeniem Kuratorium Okręgu Szkolnego, (w skład komisji, obok dyrektora czy kierownika szkoły mają wchodzić przedstawiciele komitetu rodzicielskiego i opiekuńczego, ewentualnie inni jeszcze ludzie, którzy chcą dla dzieci społecznie pracować). Ta inicjatywa przyjmuje się jednak z trudem; zrodziło się wokół niej sporo wątpliwości i nieporozumień. Po co jeszcze jeden twór — pyta wielu — skoro szkoły posiadają rady pedagogiczne odpowiedzialne za całokształt pracy dydaktyczno-wychowawczej, w czym powinny im pomagać komitety rodzicielskie i opiekuńcze. Obawiano się także ewentualnej ingerencji czynnika pozaszkolnego w wewnętrzne sprawy szkoły. Zastanawiano się nawet, czy szkolne komisje wychowawcze są legalne z prawnego punktu widzenia; w ich regulaminie bowiem mówi się o rozpatrywaniu niektórych wykroczeń uczniów. To właśnie rodzi najwięcej wątpliwości.

Podobna myśl zrodziła się przed paru laty w woj. wrocławskim; Komitet Wojewódzki PZPR wystąpił wówczas z propozycją, by drobne wykroczenia uczniów przekazywać do rozpatrzenia szkole. Zazwyczaj takie sprawy bywają umarzane z art. 49 kodeksu postępowania karnego. (Artykuł ten głosi: „Jeśli niebezpieczeństwo społeczne czynu jest znikome, prokurator umarza śledztwo lub dochodzenie; po wniesieniu aktu oskarżenia postępowanie umarza sąd").

W ostatnich paru latach dolnośląskie sądy dla nieletnich przekazały szkołom kilkaset takich spraw; obok wielu innych korzyści, zwiększa to odpowiedzialność szkoły za zachowanie się uczniów poza szkołą, pozwala na głębsze zbadanie okoliczności, które skłoniły dziecko do wejścia w kolizję z prawem.

Inicjatywę tę w pewnym sensie legalizuje ustawa z 17 czerwca 1966 roku o rozpatrywaniu drobnych wykroczeń w trybie karno-administracyjym. Art. 15 § 2 ustawy daje w tym zakresie pewne uprawnienia organizacjom młodzieżowym oraz radom pedagogicznym. Mimo braku zarządzeń wykonawczych Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, w kilku okręgach szkolnych powstały wspomniane już szkolne komisje wychowawcze.

Nowe uprawnienia szkoły wzbudziły obawy niektórych rodziców. Nie chce z nich także korzystać część nauczycieli. Oto charakterystyczny przykład: dziecko ukradło kolorowy długopis; śledztwo prowadził wezwany do szkoły milicjant (!?), gdy tymczasem sprawę powinna zbadać właśnie szkolna komisja wychowawcza. A może tego rodzaju kradzież wymagała tylko ingerencji wychowawcy klasowego. Kradzieży długopisu, pantofli czy śniadania kolegi nie można traktować na równi z włamaniem do magazynu szkolnego, kiosku lub mieszkania.

Inicjatywa Kuratorium rzeszowskiego okręgu szkolnego nie ogranicza się wyłącznie do rozpatrywania przez nauczycieli i czynnik społeczny wykroczeń młodzieży. To tylko jeden z aspektów szerzej pomyślanego programu. **Chodzi mianowicie o wszechstronną opiekę nad dziećmi, pozyskiwanie środków i sił społecznych celem poszerzenia funkcji opiekuńczo-wychowawczych nie tylko nad uczniami, lecz także nie uczącą się i niepracującą młodzieżą w wieku do 18 roku życia.** Tak pojęta działalność pozwoli rozpoznać sytuację w środowisku, przyczyny rodzące trudności wychowawcze. Tylko wówczas można skutecznie, zapobiegać różnorodnym przejawom zła, interweniować w konkretnych wypadkach, stawiać diagnozy, dotyczące całego regionu.

Powróćmy teraz do przykładów z pierwszej części artykułu; widzimy mozaikę spraw, których źródła mogą budzić sprzeczne opinie. Ich nieznajomość leży u podstaw błędów wychowawczych, popełnianych zarówno przez rodziców, jak i szkołę. Wiele spraw wyjaśnią dopiero kompleksowe badania biologicznych, psychologicznych i socjologicznych przyczyn kłopotów wychowawczych. Są one konieczne, ale chodzi także o pogłębioną analizę sytuacji w konkretnym środowisku, o, że tak się wyrażę, naukową ekspertyzę nawet indywidualnych przypadków na użytek nauczycieli, pracowników placówek wychowawczych czy rodziców. Brak takich opinii powoduje często zamieranie doraźnych inicjatyw.

Tę lukę mają wypełnić poradnie wychowawczo-zawodowe, z których niejedna wykazuje się sporym dorobkiem. Dotychczas zajmowały się one głównie preorientacją zawodową, pomagały dzieciom w wyborze zawodu. Praktyka dowiodła, że rady psychologa, pedagoga i lekarza ograniczają do minimum błędny wybór kierunku dalszej nauki, co często było przyczyną wielu rozczarowań; młodzież skierowana do szkół przez poradnie wychowawczo-zawodowe osiąga dobre wyniki w nauce.

Obecnie poradnie stoją przed poważniejszymi zadaniami; ich pracownicy będą ekspertami w sprawach wychowawczych. Mają w szerszym zakresie udzielać pomocy szkole i rodzinie. Władze oświatowe zalecają także, by w ścisłym kontakcie z nimi pozostawały szkolne komisje wychowawcze, co — należy się spodziewać — nada życia tej pożytecznej inicjatywie.

Do już osiągniętych efektów oraz zamierzeń na przyszłość powrócę w odrębnym artykule, gdyż placówki te są dotychczas raczej mało znane. Wspomnę tylko, że w Rzeszowskiem istnieje 10 poradni, a powstanie dalszych uzależnione jest w dużej mierze od lokali i mieszkań dla specjalistów.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

U POCZĄTKU WSZYSTKICH RZECZY...

Notatki

Edmund Gajewski

NAZYWA SIEBIE SZPERACZEM. Źródłem jego natchnienia są informacje od kominiarzy, malarzy pokojowych i handlarzy starzyzną. Marzy o „przepustce" do zbiornic złomu. Gromadzi wszystko co ma wartość artystyczną, naukową i historyczną. Zdobytych eksponatów nie sprzedaje, co najwyżej wymienia. Wymiana jest hazardem, traci się lub zyskuje. Ozdobny lancet z okresu kultury łużyckiej — drugi egzemplarz znany w Polsce — pozyskał kosztem części swojego zbioru monet. Zdobi on dziś jedno z muzeów krakowskich.

Niezwykły kolekcjoner — Jerzy Zapalski — kierownik Szkoły Podstawowej w Cieszancie Małym. Niezwykła jest też jego pasja, jego zaczarowany świat. Sama radość działania. O tej radości — te notatki.

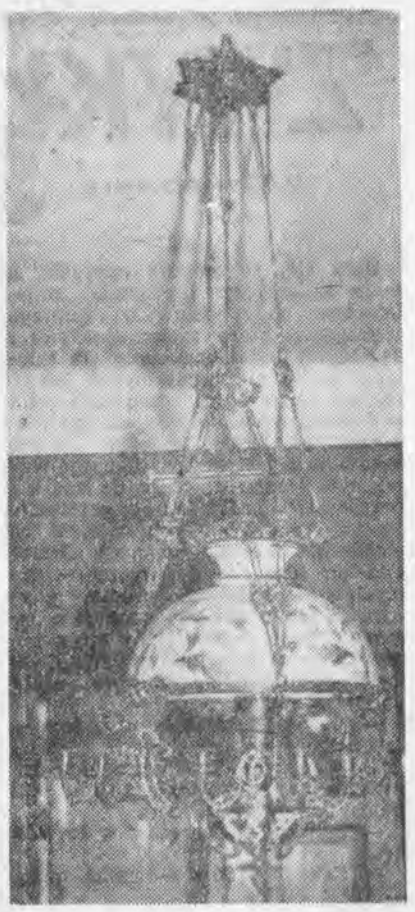

Zdjęcia fot. M. KOPEC

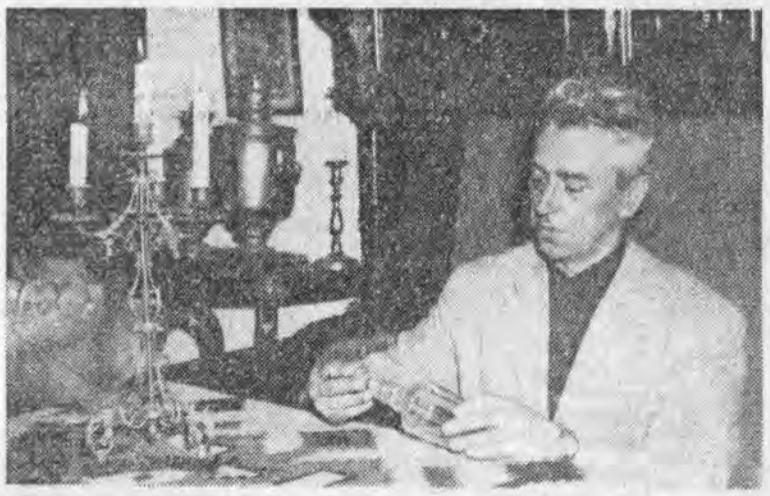

To jego dom. „Magazyn" jego pasji...

„Córka garncarza Dibutodesa, która kochała pewnego chłopca, nakreśliła ostrzem cień jego profilu na ścianie. Jej ojciec, widząc rysunek, odkrył styl ornamentacyjny waz greckich. Miłość jest u początku wszystkich rzeczy".

Może być, że to jest cała tajemnica!

★

Droga zatraciła szerokość i długość, tylko betonowe słupy sieci elektrycznej złożone wzdłuż przysiadłych chałup znaczą jej martwe wymiary. Kiedyś mieszkańcy kilofami i łopatami przybliżyli swą wieś do świata. Później, na drodze pojawiły się ekipy samochodów poszukiwań gazowych. Ciężkie wozy „rozjechały" drogę i tak narodził się konflikt, który zmobilizował wieś i znalazł swój epilog w sądzie. Wieś nazywa się Cieszancin Mały. W czasie wiosennych i jesiennych roztopów jest niedostępna, tylko w czasie lata ziemia tu pachnie jak świeżo rozparzony bochen chleba.

★

Już drugi raz wracam z pustym notesem. W Jarosławiu z „Kaskady" dzwonimy po muzeach — jest! Pan Jerzy Zapalski przywitał nas z nieukrywanym wyrzutem.

— Taki lokal! Jestem tu pierwszy i ostatni raz. Żaden handlarz starzyzną nie wpadnie tu na jednego.

Ktoś powiedział, że trzeba mieć styl. To nie styl, to pasja.

★

„Moje zamiłowania musiały szokować środowisko. W najlepszym razie ludzie wzruszali ramionami. Dziś mogę liczyć na pobłażliwość. Nie rozumieją, ale nie stracili serca".

Nie rozumiemy świergotu ptaków, smutno jednak by nam było, gdyby zamilkły. Zaspokajają nasze tęsknoty.

★

„800 złotych — cena, którą żądała stara pani za stary samowar, przerosła moje skromne możliwości. Niełatwo jest rezygnować. Myśl o tym cudeńku nie opuszcza mnie. W dwa lata później, w pewne południe na jarosławskiej ulicy zobaczyłem „mój" samowar. Pysznił się wśród połamanego żelaziwa na wózku handlarza złomu.

— Sprzeda pan?

Jest chytrze zakłopotany: — To droga rzecz!

— Ile?

— Pół setki!

Tak bezwzględny czas rozstrzyga cenę rzeczy, a przecież cena to rzecz tylko ludzi.

★

Na Dalekim Wschodzie można od czasu do czasu zobaczyć taki obrazek:

Na ruchliwej, pełnej zgiełku ulicy przystaje jakiś człowiek, odwraca się tyłem do tłumu, a twarzą do muru i tak pozostaje przez chwilę. Podobno ten moment skupienia przywraca zmęczonemu człowiekowi równowagę psychiczną. Chwala mądrościom Wschodu. Ale każdy na swój sposób jest lekarzem. W tych ciężkich chwilach niezwykły kolekcjoner chwyta za dłutka, a na miedzianej blasze wykwitają harmonijne wzory według starych mistrzów.

Ludzie wtedy mówią, że w domu z czerwonej cegły na wzgórzu — metal śpiewa!

★

Stare zegary zawróciły bieg czasu. Płomienie świec zatkniętych w cynowym świeczniku błądzą po mosiądzach i niklach. W powietrzu niedostrzegalny montaż — muzyka pozytywki. Wibracja dźwięków przenika każdy kąt.

Gdzie jestem?

To jego dom. „Magazyn" jego pasji.

* * *

„Zawiozłem chłopaków do Muzeum w Jarosławiu. Gdy wracaliśmy, pytam o wrażenia:

— Takie same klamoty jak u pana kierownika w domu — odpowiedzieli, wracając do dyskusji o wysokoprężnym silniku".

* * *

Abyśmy za lat kilka nie musieli szukać ze świecą ostatnich romantyków dotkniętych grzechem estetyki. A jeśli tak, to czym wytłumaczyć, że tysiące synów chłopskich szturmuje do bram szkół artystycznych!

Nie bójmy się deficytu estetów.

★

Na frontowej ścianie domu przy wejściu pan Jerzy zawiesił przeżarte rdzą hełmy wojskowe oraz żelazne uchwyty na nogi, którymi przykuwano więźniów do ściany w jarosławskim gestapo. Niech budzą wyobraźnię!

Nie jestem pozbawiony wyobraźni, dlaczego więc wyniosłem z tego domu tylko podziw dla człowieka?

Nie wierzcie, że historia ludzkości to historia wojen, a pokój to czas między wojnami!

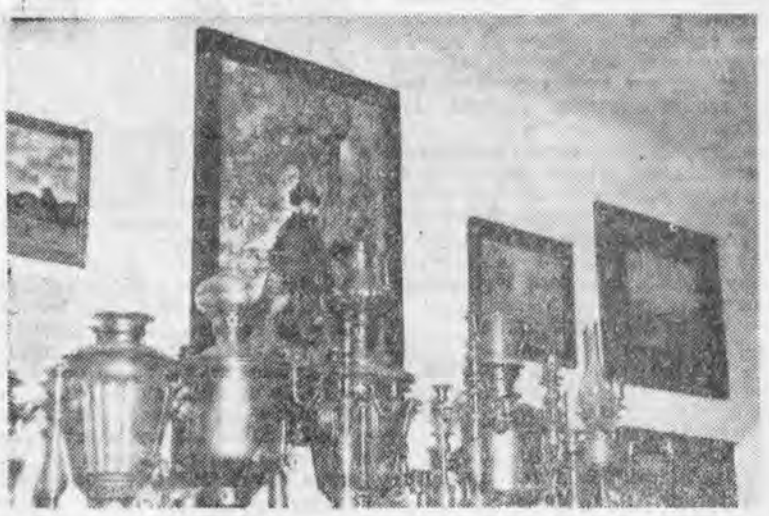

Płomienie świec zatkniętych w cynowym świeczniku błądzą po mosiądzach i niklu.

Późnym wieczorem, w Rzeszowie, spiker telewizyjny zapowiadał przerwanie ognia na Bliskim Wschodzie.

★

Wiem, że macie prawo zapytać: a funkcja społeczna tej pasji — jaka rola?

Z a c h o w y w a n i e p r z e s z ł o ś c i d l a p r z y s z ł o ś c i — t o j e s t r o l a!

Adam Janusz Bień

ZWYKŁY STRACH

OPOWIADANIE

Bała się, że on nie odejdzie, a mały zajadający łapczywie śmietankowe lody, zauważy tamtego mężczyznę, który zasłaniając twarz gazetą wyglądał naprawdę jak człowiek pochłonięty całkowicie lekturą, ale mały — jej zdaniem — jest nad wiek rozwinięty i jeśli go rozpozna, na pewno zawoła: „patrz, mamo, tam jest wujek, dlaczego wujek siedzi sam, dlaczego do nas nie przyjdzie?" Zadrżała, bo przeraziło ją to, co sobie wyobraziła, a co wcale nie musiało nastąpić. „Przecież do tego nie dopuszczę — pomyślała — byłabym głupia, gdybym na to pozwoliła, zaczekam jeszcze chwilę, dopóki mały nie skończy tych swoich lodów i wyjdziemy". Spojrzała na chłopca. Mały oblizywał palce.

— Nie rób tak, bo to nieładnie — szepnęła.

Chłopczyk schował wprawdzie język, lecz nadal trzymał koło ust palce pomazane lodami.

— Wytrzyj sobie rączki w serwetkę.

— Szkoda lodów — rzekł mały. — Wolę oblizać.

— Fe...

— A tatuś oblizuje!

— Co... — zdziwił się milczący dotychczas mężczyzna. — Co ty mówisz, że ja... — Rzucił niespokojnie okiem na sąsiedni stolik. Tamci się uśmiechali. Musieli usłyszeć — pomyślał mężczyzna, patrząc groźnie na chłopca.

Mały, czując niebezpieczeństwo, postanowił się bronić.

— Tutaj tatuś nie oblizuje — powiedział — tylko w domu, gdy obgryza kurczaka.

Sąsiedni stolik parsknął śmiechem. Mężczyzna zaciągnął się nerwowo papierosem i chrząknął. Z zamieszania skorzystała kobieta.

— Chyba pójdziemy — rzekła i zwróciła się do kelnerki: — Płacimy, proszę pani...

Nikt nie protestował: ani mały chłopczyk, ani też mężczyzna. Tamten jedynie, ten, co siedział w najciemniejszym rogu kawiarni, jeszcze bardziej zasłonił się gazetą, gdy idąc ku wyjściu mijali stolik, przy którym siedział. Potem wstał i poszedł do dużych, oszklonych drzwi. Patrząc przez szybę zobaczył, jak mężczyzna żegna się z kobietą i dzieckiem.

— Już nas zostawiasz? — zapytała kobieta. — Naprawdę musisz...

— Niestety, mam konferencję.

Tatuś to ma ciągle konferencje — wtrącił się chłopiec. — Dlaczego?

— Z tobą porozmawiamy w domu — rzekł mężczyzna.

Mały znów spuścił głowę i chcąc odwrócić uwagę ojca od kłopotliwych dlań tematów, krzyknął przeraźliwie głośno:

— Żaba! Wstrętna ropucha...

— Gdzie? — zaniepokoiła się kobieta. — Zostaw ją! Brzydzę się żab. Nie dotykaj...

Starsza, siwowłosa pani w czerni, przechodząca obok, stanęła jak wryta. Poprawiając okulary, spojrzała na czarną asfaltową jezdnię. Nie dostrzegając żaby, energicznym kroczkiem — dość szybkim jak na swój wiek — podbiegła do małego. Jeszcze raz rzuciła okiem na ziemię i upewniwszy się, że tam niczego więcej nie ma oprócz brudnej kałuży wody, uderzyła chłopca laseczką.

— Wypraszam sobie ordynarne przezwiska — pisnęła histerycznie. — Jestem emerytowaną nauczycielką, mam za sobą ponad czterdzieści lat pracy pedagogicznej i nie pozwolę na to, aby traktowano mnie w podobny sposób. Jak pani wychowuje dziecko...

— Ale to nieporozumienie!

— Słyszałam doskonale...

— Proszę pani, to niemożliwe...

— Niech się pani przynajmniej nie wypiera, niech go pani skarci, bo bandyta z niego wyrośnie!

— Mariuszku — rzekła kobieta — co ty powiedziałeś, wszak nie obraziłeś tej pani, powtórz...

Mały, masując rękę, w którą trafiła laseczka siwowłosej pani w czerni, spojrzał na matkę, a potem przeniósł wzrok na pokreśloną zmarszczkami złą twarz starej kobiety.

— Baba Jaga — powiedział.

Starą zatrzęsło.

— Och! — wrzasnęła. — A nie mówiłam, może skłamałam... Zaraz zawołam milicjanta. Do domu poprawczego każę zabrać smarkacza, jeżeli rodzice nie potrafią go wychować.

— Chodźmy stąd! — Mężczyzna, palący w milczeniu papierosa, dotknął ramienia kobiety. — Prędzej — powtórzył — bo już się robi zbiegowisko. Nie będziemy się ośmieszać.

Z trudem przepchnęli się przez gęsty szpaler gapiów otaczających ich ciasnym kołem. Będąc już daleko od tego miejsca, gdzie mały zobaczył żabę, słyszeli wciąż jeszcze wrzaskliwy dyszkancik siwowłosej pani w czerni. Coś wołała za nimi, ale jej słowa ginęły w zgiełku ulicy.

Mężczyzna przyśpieszył kroku.

— On zawsze musi coś przeskrobać — powiedział.

— W tym wypadku był niewinny — wzruszyła ramionami kobieta.

— Porozmawiamy w domu — mruknął mężczyzna.

Mały szedł cicho; nie wtrącał się do rozmowy rodziców, nie patrzył im w oczy ani też na kolorowe wystawy, które zawsze przyciągały jego wzrok. Kiedy doszli do przystanku, mężczyzna ukradkiem spojrzał na zegarek.

— Będę musiał was pożegnać — powiedział. — Pojadę tramwajem, gdyż inaczej nie zdążę. — Pocałował kobietę w rękę, a na chłopca spojrzał mniej groźnie aniżeli przed chwilą.

— Tylko bądź grzeczny i przestań psocić, dobrze?

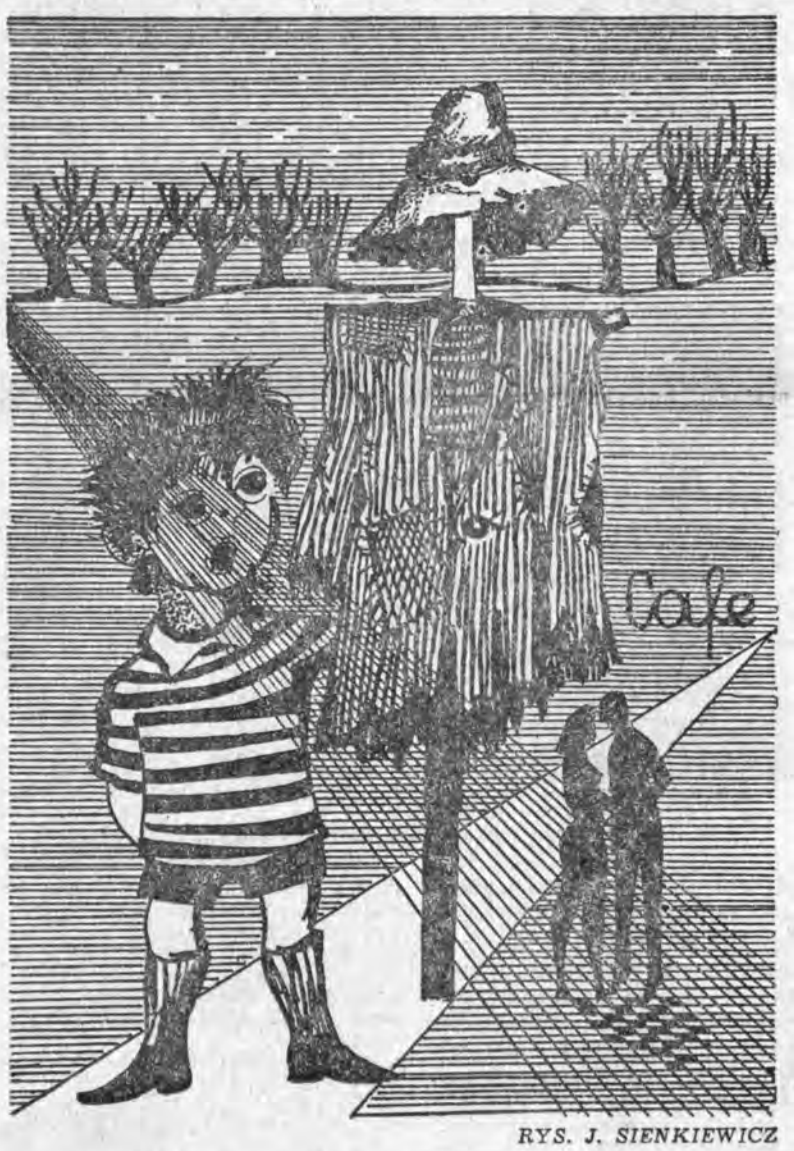

RYS. J. SIENKIEWICZ

— Dobrze — zgodził się mały. Chwycił mocno dłoń kobiety, jakby bał się, że ojciec weźmie go ze sobą albo każe mu wracać za karę do domu. Lecz tamten wskakiwał już do tramwaju.

Kobieta słysząc dźwięk odjeżdżającego wozu i widząc, jak tramwaj znika za rogiem ulicy — odetchnęła. „Wreszcie poszedł — pomyślała — a byłam pewna, że on coś podejrzewa, że domyśla się prawdy, przecież nigdy nie proponował jej spaceru, od kilku lat wychodził zawsze sam i co dzień powtarzała się identyczna sytuacja: on wraca z pracy głodny i zmęczony, myje ręce, potem siada przy stole, co słychać, pyta; nic ciekawego, był inkasent z elektrowni i rachunek jest większy niż w zeszłym miesiącu; ach, mruczy, trzeba będzie trochę oszczędzać; już czyta gazetę, później je zachłannie, wypala papierosa i mówi, że po południu ma ważną konferencję; teściowa narzeka: zamęczą cię Stasiu, kiedy ty odpoczniesz, czy nie możesz uwolnić się od tych licznych obowiązków; niestety, odpowiada, sam chciałbym; kładzie się na tapczanie i po chwili słychać jego równy oddech, wieczorem zaś goli się starannie, ubiera czystą koszulę, wiąże ulubiony krawat i wychodzi, całując ją w czoło, wrócę późno, kochanie, nie czekaj...

— Tatuś poszedł na konferencję?

— Tak.

— A my, mamusiu, gdzie teraz pójdziemy?

— Tam, gdzie zawsze.

Mały podskakuje z radości.

— Za miasto?

— Tak, pójdziemy na spacer. — Kobieta ogląda się niespokojnie, szukając w tłumie znajomej twarzy. „Przez tę głupią historię z tą starą mogliśmy się zgubić. Może on wcale nie wyszedł z kawiarni, może został tam widząc, że nie jestem sama, a może pojechał i czeka..."

Niepokój udziela się małemu.

— Chodźmy szybciej mamusiu. Chcę tam już być. Tam nie ma ludzi. Wolę bardziej pola i łąki od miasta. Na ulicy zawsze się boję, że wpadnę pod samochód albo że ktoś mnie zbije jak ta stara dzisiaj. Patrz, jest nasz tramwaj!

Jadą przez całe miasto. Zostawili daleko za sobą wysokie wieżowce podobne do siebie jak pudełka zapałek. Wydostali się poza obręb hałasu i wiecznego szumu, cichnącego trochę jedynie w nocy, ale nigdy nie cichnącego zupełnie. Są już daleko, tramwaj wlecze się drogą, przy której od czasu do czasu wyrasta mały domek z ogródkiem. Dojeżdżają do ostatniego przystanku. Konduktor wyjął z kieszeni papierosa i zapisuje coś w swojej księdze.

— Koniec trasy — mówi. — Wysiadamy. — Przechodzi na przedni pomost i nachyla się nad motorniczym. — Daj no ognia!

Idą dalej drogą, z której zniknęły szyny, a lśniący asfalt przemienił się w wyboisty bruk. Jakiś wóz wracający z miasta podskakuje na kocich łbach, głośno turkocząc.

— Tu jest dobrze — mówi mały. — Nie ma samochodów i starych bab. Można puszczać latawca i biegać po trawie. Żaden dozorca się nie przyczepi.

Kobieta nie słucha paplaniny małego. Rozgląda się wokół niecierpliwie i jest coraz bardziej niespokojna, bo nie widzi tego, kogo chciałaby spotkać. Czyżby nie przyjechał? Został w kawiarni... Przypominając sobie kobiety, które tam siedziały, te młode i ładne samiczki obserwujące zalotnie spod sztucznych rzęs wchodzących mężczyzn — zaczyna się denerwować. Wyciąga z torebki lusterko. Dość długo przygląda się swojej twarzy. Muszę częściej chodzić do kosmetyczki — postanawia i chowając z powrotem lusterko, grzebie wśród drobiazgów, szukając papierosa.

— Proszę... Zdaje się, że masz ochotę zapalić?

Jego głos zabrzmiał tak niespodziewanie, że drgnęła w pierwszej chwili, przerażona natarczywością intruza. Dopiero wtedy, gdy podniosła oczy poznała znajomą twarz. Ucieszyła się i nie ukrywając swojej radości, chwyciła go mocno za rękę.

— Myślałam, że nie przyjechałeś, że zostałeś tam, w tej kawiarni...

— Przyjechałem.

— Och, jak dobrze!

— Gdzie mały?

— Bawi się, pobiegł...

— To doskonale — powiedział mężczyzna. — Jesteśmy więc sami. Nachylił się nad nią, gdyż był od niej znacznie wyższy i przyciągnął ją do siebie.

— Uważaj — zdążyła powiedzieć, ale nic więcej, bo jego wargi — trochę szorstkie i pachnące ostrą wonią nikotyny — dotknęły jej ust. Ulegając ich żądaniu, zapomniała o wszystkim; nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje i co robi, zobojętniała, nie myśląc o małym i o tamtym, który poszedł na konferencję.

— Teraz zapalimy — rzekł mężczyzna, gdy oderwali się od siebie, siadając na pniu zwalonego przez burzę drzewa. — Szukałaś przedtem papierosa...

— Tak — powiedziała. — Zdenerwowałam się, bo myślałam, że nie przyjedziesz... — Zaciągając się dymem, przytuliła twarz do jego rąk, a potem przesunęła dłonią po jego włosach, pieszcząc je tak długo, dopóki mężczyzna nie odsunął się od niej mówiąc, że trzeba zachować ostrożność, ponieważ mały może lada chwila wrócić i zastać ich w takiej sytuacji, co byłoby raczej niewskazane.

Ale mały nawet nie myślał o tym, żeby wracać. Szczęśliwy, iż nikt go nie upomina i niczego mu nie zabrania, zachłystywał się wolnością, robiąc to wszystko, na co nie pozwalało mu czujne oko dorosłych. Korzystając z okazji, łamał najświętsze zakazy: brał do rąk ohydne ropuchy, zabijał tłuste glisty, rwąc je na drobniutkie kawałeczki, właził na wysokie drzewa w poszukiwaniu ptasich gniazd. I choć zmęczony, choć zlany potem, nie ustawał w pogoni za przyrodą, której nie znajdował w ciasnych murach miasta i w swoim dziecinnym pokoju. Teraz zanurzał się odważnie w zapadający wczesnowiosenny zmrok, wyobrażając sobie, że wędruje przez pustynię czyhającą nań tysiącem niebezpieczeństw. Wymachując znalezionym kijem i nucąc półgłosem dla dodania sobie otuchy, szedł miedzą przecinającą pola i coraz bardziej oddalał się od drogi i od tego miejsca, gdzie zostawił matkę. W końcu zaszedł tak daleko, że nie dobiegał doń dźwięk tramwaju. Stanął zaskoczony panującą tu ciszą i nic już nie musiał sobie wyobrażać. Był na prawdziwej pustyni. Miasto, tramwaj, matka — zostały daleko za nim. Był sam. W ręku miał kruchy kij. Przeraził się, że ma tylko to. Wolałby mieć pistolet albo nóż jak tamci z filmów. Ale miał tylko kij. Ściskając go mocno w dłoni, zaczął nadsłuchiwać. Wydawało mu się, że wiejący z prawej strony wiatr niesie ze sobą stłumione odgłosy wielkomiejskiego gwaru. „Muszę wracać, bo mama się przestraszy", pomyślał i słysząc głośne bicie swego serca, puścił się pędem w powrotną drogę. Teraz zapragnął jak najszybciej znaleźć się koło niej, chciał pieszczoty jej rąk i zapachu znanych mu perfum. Biegł ogarnięty strachem, który pojawił się nagle, dodając mu sił i zmuszając do jeszcze większego wysiłku. Biegł nie zwracając uwagi na pot lejący się po czole i na ból rozdrapanych do krwi kolan, porozbijanych na nierównej ścieżce. I kiedy był już blisko, kiedy ujrzał migocące w oddali światła, słysząc jednocześnie zgrzyt tramwajowych szyn, wyrosła przed nim ta postać: wielka, olbrzymia, przerastająca go kilkakrotnie, w łachmanach, z szeroko rozłożonymi rękami, wyciągniętymi po niego, aby go schwytać.

Z krzyczeć i krzyczał tak długo, dopóki nie zabrakło mu sił i dopóki nie przybiegła ona, matka z włosami potarganymi jakby przez wiatr, wołająca już z daleka:

— Nie bój się, nie krzycz, idę po ciebie, co się stało...

Otworzył oczy, bo zamknął je, żeby nie widzieć tej okropnej poczwary, którą wskazywał palcem.

— Patrz, on chciał mnie porwać, chciał mnie zabić..."

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Przecież to strach!

— Co?

— Zwykły strach...

— Jaki?

— Na wróble. Choć, zobacz z bliska.

Otworzył jeszcze szerzej oczy. Postać w łachmanach skurczyła się, zmalała. Rozłożone, wyciągnięte ręce okazały się poprzecznie przybitą deską, omotana szmatami upiorna głowa — starym poszarpanym kapeluszem.

Zawstydził się. Zaczął trzeć palcami powieki, aby powstrzymać potok łez cisnących się do oczu.

— Dlaczego beczysz, czego się boisz?

Płakał ze wstydu, a nie ze strachu. Tylko ona o tym nie wiedziała. Myślała, że on wciąż się boi i to ją rozśmieszyło, bo porównała jego strach ze swoim, z tym wielkim strachem, w jakim żyje od lat. Wiedziała że kiedyś w przyszłości on może zacząć żyć tak samo, zupełnie tak samo jak oni: nie uniknie kłamstw i ustawicznego lęku, że kłamstwa wyjdą na jaw. Idąc do drugiej kobiety, będzie mówił swojej żonie, że ma pilną konferencję, a jego żona, biorąc na spacer dziecko, spotyka się być może z innym. W nagłym przypływie współczucia przytuliła go do siebie serdecznie i mocno.

— Nie bój się i nie płacz — powiedziała. — Wytrzyj chusteczką oczka. Nie trzeba płakać, bo gdyby każde z nas płakało z byle jakiego powodu, musielibyśmy płakać wszyscy.

Mały, pochlipując i pociągając nosem, wytarł posłusznie oczy.

— Ja się wcale nie boję — szepnął — lecz ty mi nie wierzysz. A ja mówię prawdę, jak babcię kocham.

ADAM JANUSZ BIEŃ

● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ●

W sprawie baroku i „Hrabiny Cosel"

W informacji o realizowaniu w łańcuckim zamku filmu „Hrabina Cosel" (z dnia 11 VI br. pt. „Zamek w Łańcucie rezydencją króla") czytamy: „Akcja filmu rozgrywa się w okresie polskiego baroku, który zrodził się pod wpływami niemieckimi, a które przywędrowały do Polski oczywiście razem z królem. Barokowe wnętrza komnat łańcuckich świetnie dokumentują tę epokę".

Nieprawda. Polski barok nie zrodził się pod wpływami niemieckimi. Barok zrodził się w ogóle w związku z kontrreformacją i jezuitami, a do Polski „przywędrował" bezpośrednio ze swego źródła, tj. Włoch. Przybył bardzo wcześnie, bo około 20 lat po swym powstaniu.

Architekci polskiego baroku są przeważnie włoskiego pochodzenia, a tzw. styl północny, oszczędniejszy w formie i monumentalny, reprezentuje kilku architektów pochodzenia holenderskiego, ze słynnym Tylmanem z Gamerem na czele. Czerpią oni wzory z włoskiego baroku palladiańskiego. Najpiękniejsze dzieła polskiej architektury sakralnej i świeckiej powstają już w wieku XVII. Pierwszy polski kościół barokowy w Nieświeżu zaczęto budować w 1582 roku, tj. zanim Włosi zakończyli budowę pierwowzoru kościołów barokowych: Il Gesu w Rzymie (1568—84). Pierwowzorem dla pałaców barokowych był Wersal i nie mają nic wspólnego z duchem niemieckim: „polski Wersal" — Wilanów i naśladujące go rezydencje magnackie.

Tyle ogólnie o architekturze, na której tle mamy zobaczyć „czołową postać filmu", niesławnej w Polsce pamięci, króla Augusta II Sasa.

Co zaś czytamy?: „...postać Augusta II reżyser pragnie zbliżyć do dzisiejszego widza jako człowieka bliskiego, pokrewnego nam, niemalże współczesnego. A więc nakręślić portret króla, jaki przetrwał do naszych czasów".

Nie szukając daleko, sięgnijmy do „Małej Encyklopedii Powszechnej" wyd. PWN, po portret króla taki, jaki istotnie przetrwał do naszych czasów. Czytamy w Encyklopedii: „August II Fryderyk, zwany Mocny... interesy Polski podporządkował swoim celom dynastycznym — wciągnął kraj w wojnę północną, poddał wpływom rosyjskim (Sejm niemy), dążył do władzy absolutnej".

Od dawna na łamach „Kultury" K. T. Toeplitz pisze o „nieograniczonej nieodpowiedzialności" twórców naszej kinematografii. Jeśli wyżej zacytowana informacja z „Nowin" jest prawdziwa — mamy tu jeszcze jeden przykład działania filmowców, moim zdaniem, nieprzemyślanego. Bo gdybyż „Hrabina Cosel" była filmem typu „Płaszcz i szpada". Ale nie! „Będzie to próba ukazania funkcjonowania mechanizmu władzy" — „toczka w toczkę" jak o Faraonie".

W „Popiołach" — „na tle powieści Żeromskiego" nieznanym trafem zapomniano o róży, którą Cedro pozostawia Hiszpance, róży, która w powieści w jakiś dziwny sposób zrównoważyła ciężar opisu tragicznych walk w Hiszpanii, a może i na San Domingo. Róży — symbolu. W powieści Kraszewskiego brak takiego symbolu. O czym się zapomni przy ekranizacji powieści Kraszewskiego?

Serdecznie pozdrawiam Redakcję „Nowin Rzeszowskich" i życzę wiele powodzenia w jej trudnej pracy.

Barbara Lech-Wilkowa
mgr inż. architekt

Jan Grygiel

„POGANIN" na bieszczadzkim szlaku

W dyskusji, którą sprowokował w ubiegłym roku przedstawiciel najmłodszej generacji literackiej Adam Augustyn artykułem „Obrona Arkadyjczyka („Życie Literackie" nr 7, 1966) padło pod adresem tejże generacji sporo ważkich zarzutów. Zarzucano książkom najmłodszych minimalizm filozoficzny i ideowy, zawężone widzenie świata, uprawianie małego realizmu prowadzącego do małych obserwacji „osiągalnych w kręgu wyciągniętej ręki" i miałkich refleksji. Zarzucano arkadyjskość — ucieczkę od skomplikowanych problemów epoki w sielankową krainę małej stabilizacji lub tworzenie naiwnych uproszczonych mitów.

Trudno nie przyznać racji krytykom, gdy dąsają się na ciasnotę perspektyw młodej literatury po przeczytaniu książek atakowanych autorów. Piszę to po wrażeniach z lektury drugiej z kolei powieści wspomnianego już wyżej Adama Augusty-

Adam Augustyn

na — młodego krakowskiego pisarza — pt. „Poganin". Istotnie, mały to realizm i lot niezbyt wysoki. Istotnie, horyzonty myślowe tej powieści niewiele są szersze od zasięgu wzroku autora. Narrator powieści i bohater wyjeżdża z dużego miasta na 10 dni do Birczy, na przedpole Bieszczadów, aby coś zarobić jako pomocnik geodety przy budowie drogi. Skrupulatnie i niezwykle drobiazgowo notuje swoje spostrzeżenia o miasteczku i jego ludziach oraz równie drobiazgowo relacjonuje swoje przeżycia wewnętrzne i nastroje, które w Birczy przeżywa. Z obserwacji środowiska nic, poza karykaturalnie zniekształconym obrazem „zabitej deskami dziury" nie wynika. Narrator bowiem spogląda na Birczę z dystansu młodzieńca wyalienowanego, przeżartego chorobą wielkomiejskiej cywilizacji. Dlatego na każdym kroku dostrzega barbarzyństwo, prymitywizm i zgrzebne prostactwo. Wasyliszyn, były milicjant walczący kiedyś z UPA jest w oczach bohatera „małym chłopkiem ze sprytną twarzą", dla którego chodzenie z taśmą miernicą stanowi awans i który z przyjemnością nosi futerał od lornetki, bo jest lśniący i ładny. Kierownik punktu skupu jest „małym chłopkiem" w długim do kostek szarym płaszczu i w olbrzymich zabłoconych butach z cholewami. Poza tym jest jeszcze Adaś Wąsowicz, były nauczyciel, teraz malarz, który w birczańskiej knajpie przepija zmarnowane życie oraz przewodniczący i sekretarz Miejskiej Rady, traktowani z ironią jako „dygnitarze", którzy publicznie eksponują swoje matolstwo. Dziewczyny są tam nudne i głupie, a w ogóle młodzież z Birczy nie wie, co robić ze sobą, „ze swoją samotnością, wolnym czasem, zapatrzeni w swoje nieciekawe wnętrza, puste nie podsycane niczym z otoczenia, ze świata, tchnące nudą".

Tak oto powstał paszkwil na wyimaginowaną, podbieszczadzką Polskę C, paszkwil tym dotkliwszy dla mieszkańców Birczy, iż autor bezlitośnie sportretował autentycznych tubylców nieznacznie tylko zmieniając nazwiska. Nie oszczędził nawet miejscowej nauczycielki istotnie żyjącej i pracującej w Birczy. Również wykolejony nauczyciel Wąsowicz jest postacią autentyczną. Można sobie wyobrazić jak ta książka skomplikowała życie pierwowzorów postaci w ich środowisku.

Okazuje się bowiem, iż autor pracował przy budowie drogi w Birczy i w taki osobliwy sposób odwdzięczył się jej mieszkańcom za gościnność.

Także nic nie wynika z drobiazgowej analizy postawy psychicznej bohatera. Przybywa on do Birczy z osobliwą ideą „pogaństwa" zaczerpniętą z powieści Jacka Londona. Marzy mu się wielka przygoda „na szlaku" wśród bezinteresownych awanturników, walka i zwyciężanie „natury nieujarzmionej", niezależność od świata rzeczy. Słowem, ucieczka z krainy alienacji do natury, wtopienie się w przyrodę jako jej cząstka. Jest to jeszcze jedna formuła mitu arkadyjskiego, ale naiwna, uproszczona i co gorsza, z drugiej ręki — z chłopięcej lektury londonowskiej egzotyki.

Okazuje się jednak, iż narrator nie potrafi tej idei zrealizować. Ponosi klęskę, gdyż uświadomił sobie papierowość swojego pomysłu i własną nieudolność w walce z surowymi warunkami bieszczadzkiego życia. Okazuje się, iż nawet ogniska nie potrafi rozpalić. Zrozpaczony spędza wszystkie wolne od pracy godziny w gospodzie „zalewając robaka" i na samotnych spacerach. Czuje się bankrutem — ta szansa go zawiodła, a żadnego innego celu w życiu właściwie nie ma. Wszystko, co dotąd przeżył było puste, nudne i bezsensowne. Narrator swoją nieskomplikowaną ideę pogaństwa rozszczepia na czworo, bez końca analizuje i wynajduje rozmaite jej odcienie nudząc tym do reszty czytelnika.

Mógłby to być pamflet na postawę ideową młodego pokolenia, gdyż można odczytać w portrecie poganina tony dezaprobaty, lekkiej ironii czy dystansu. Ale chyba nie jest. Augustyn poważnie proponuje taki model współczesnego „nonkonformisty" i bohatera, i taki system jego wartości; ostatecznie aprobuje konflikt ze światem swojej postaci powieściowej. To przeraża, gdyż „poganin" reprezentuje zadziwiającą pustkę intelektualną i duchową.

Trudno się pogodzić z tego rodzaju widzeniem świata w młodej literaturze, trudno przyjąć tego rodzaju propozycję jej rozwoju. Tu nie pomogą wszelkie usprawiedliwienia młodych zmęczeniem, trudną i skomplikowaną epoką, kompromitacją wielkich haseł i ideologii czy postulatu chodzenia po ziemi, miast rozwijania skrzydeł i pożytku z „uprawiania własnego ogródka". Tego rodzaju mały realizm prowadzi do płaskiego, wycinkowego, a więc sfałszowanego obrazu rzeczywistości i do ucieczki w szczęśliwą krainę bezruchu intelektualnego i samouspokojenia od centralnych konfliktów epoki.

Adam Augustyn „Poganin" — Warszawa, Iskry 1967.

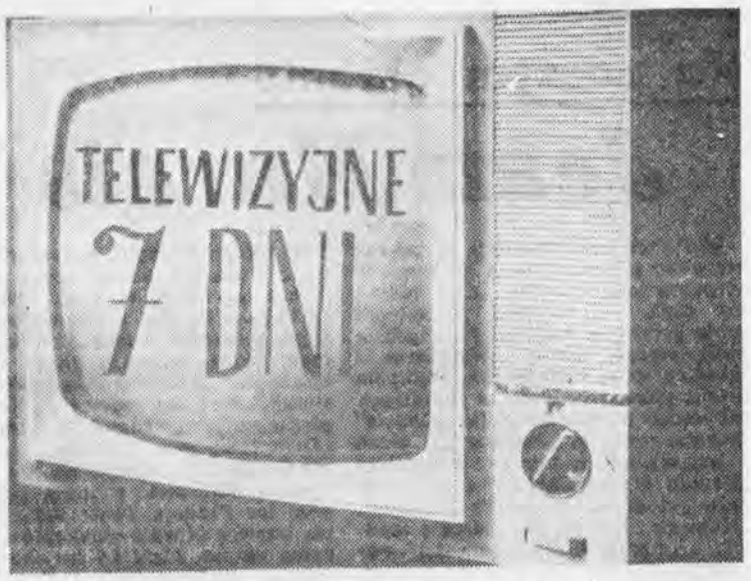

Z najprawdziwszą satysfakcją spieszę odnotować najpierw jubileusz „Piórkiem i węglem", które to dwie techniki uprawia już od 50 niedziel prof. Zin z umiejętnością uczonego gawędziarza, wzmagając nasze apetyty na sprawy sztuki. Profesor — architekt nie zawęża bynajmniej swoich gawęd, ozdobionych doskonałym technicznie rysunkiem do problemów architektury; jego pasja polega przede wszystkim na tropieniu piękna otaczającego nas pejzażu i obojętnie, czy to będzie krzaczasty krzew, czy stary puchar, czy renesanowy portal — wszystkie te cuda dawności zaklęte w dzieło sztuki otrzepuje z kurzu zapomnienia, próbuje dociec, gdzie tkwiło źródło inspiracji artysty, który je stworzył, w czym tkwi ich sens i wartość dla nowoczesnego człowieka.

Przeto w 50 tydzień jego programów i dlatego, że sam w skromności wielkiej nie skorzystał nawet z okazji, by o tym przypomnieć telewidzom, — jeszcze raz pełne entuzjazmu podziękowanie złożyć mu wypada.

A teraz już spokojnie mogę przejść do mniej pięknych spraw minionego tygodnia, z których najmniej piękną pewnie były paskudne sypki prowadzących program młodzieżowy „Po szóstej". Zupełnie zastanawiające dla mnie jest, kiedy ludzie od lat przyzwyczajeni do wymierzonej w czasie pracy, prowadzący program na ogół swobodnie, zapominają się do tego stopnia, jak to miało miejsce z Markiem Stęczkowskim — prezenterem inteligentnym przecie i jego partnerką, niestety, Elżbiecie Dryll — długoletniej i miłej współautorce magazynu „Po szóstej" — nie dorównującą. Jak to się dzieje, że bez słowa przeproszenia, bez cienia zażenowania przerywają gawędę swoim rozmówcom, że bez usprawiedliwienia pozbawiają telewidza point? Praktyki takie, niedozwolone, nie po raz pierwszy zresztą w tym programie mające miejsce — stawiają w ogóle jego jakość pod wielkim znakiem zapytania.

Takoż pod znakiem zapytania widzę wartość transmisji z aebat ONZ w Nowym Jorku, jaką zaaplikował nam wielce mu ulubiony Monitor. Najpierw długie, długie minuty jawiła się przed naszym okiem makietka „Łączymy się z Nowym Jorkiem" i komiczny sputniczek, który to połączenie umożliwiał, później barazo krótko mówił coś w angielskim języku jeden pan, delegat zapewne, po nim przedstawiciel ZRA protestował w gorliwych słowach przeciw agresji izraelskiej (co już polski komentator nareszcie przetłumaczył i co trwało może minutę), przy czym wszystko to razem drgało, znikało i błyskało, aż nareszcie zgromadzenie ONZ się rozwiązało i ponownie znaleźliśmy się w Warszawie. Konia z rzędem temu, kto z tej sputnikowej transmisji odniósł jakąkolwiek korzyść, a przecież straciliśmy dzięki niej przeszło połowę Monitora, aoaajmy w tym tygoaniu, który obfitował w pałące wydarzenia polityczne. Naturalnie nie chcę być źle zrozumiana przypadkiem, że to co piszę jest protestem przeciw bezpośrednim relacjom z wydarzeń o skali międzynarodowej; niechże mnie bogi uronią przed takim posądzeniem. Jest to jednakże protest przeciw niepotrzebnym stratom telewizyjnego czasu w ramach aoorych programów, protest przeciw autentycznym komentarzom, nagranym na taśmę magnetofonową, przy której owtwarzaniu trzeba tłumacza, względnie aparatury eliminującej wszystkie chrzęsty, nuki i chrypiwosci. Cóż mi bowiem z tego, że słyszę telefoniczną relację na żywo, kiedy połowy nie rozumiem w ogóle, drugiej połowy zaś z trudem się domyślam. Niestety, wielkie ewenementy techniczne, do jakich bez wątpienia należała transmisja z debat ONZ, trzeba nam często opłacać naamierną cierpliwością, którą wszyscy chlubić się nie mogą...

Do listy narzekań aoraz także i tę pozycję, zaanonsowaną w programach telewizyjnych i przez samą telewizję jeszcze w późnych godzinach sobotnich, że w niedzielę, w cyklu „Ludzi i zdarzeń" obejrzymy sobie reportaż o Leżajsku. Nie muszę chyba zapewniać Czytelnika, jak araźnią takie fakty, kiedy w miejsce reportażu o rzeszowskim miasteczku, dostaje tylez znaną, co głośną relację o bigorajskim „Emigrancie". Nie wiem, co stało się z „Leżajskiem", jakie złe moce nie aozwoliły nam go obejrzeć; wiem, że mogą mi zaoszczędzić rozczarowania telewizyjni pianiści programu i bodaj nie podawać aosłownie na kilkanaście godzin wcześniej, że zostanie on pokazany.

Najdziwniejszy jednak w tym narzekaniu jest fakt, że aziało się to wszystko w 7 aniach na ogół sensownych, kiedy mieliśmy parę świetnych widowisk teatralnych („Czarowna noc" Mrożka, czyli superklasa Skuszanki), kiedy nawet dzieciom poznański „Marcinek" przygotował aowcipną i nowoczesną inscenizację „Słowika" Andersena, kiedy „Divertimento stomatologiczne" Jeremiego Przybory rzeczywiście mnie rozśmieszyło, kiedy po długiej przerwie pojawił się telewizyjni „Matysiakowie", czyli Szkiana nieaziela — zupełnie mia w pomysłach, ze świetnym Sempolinskim na aodatek, kiedy wreszcie zaaplikowano nam znakomity w realizacji portret Juliette Greco, który wszelkich snobów musiał przyprawić o dreszcz zachwytu tą prezentacją życia paryskich wyższych sfer. A więc w tygodniu, o którym powiem, że jeszcze ustrzegł się przed sezonem ogórkowym.

KRYSTYNA

U naszych przyjaciół

WĘGRY

Autor węgierski Gyala Iljes napisał oratorium „Utrata raju". Utwór ten zawiera antywojenną wymowę i został napisany dla amatorskiej grupy teatralnej naddunajskiej wsi Somodijad.

Gyala Iljes jest znanym poetą, pisarzem, dramaturgiem i wybitnym przedstawicielem współczesnej literatury węgierskiej. Dwa razy została mu przyznana nagroda im. Lajosa Kossutha, a przed rokiem otrzymał wysokie międzynarodowe wyróżnienie — pierwszą nagrodę na międzynarodowym biennale poezji.

* * *

Opera węgierskiego kompozytora Sandora Sokolaja „Krwawe wesela" cieszy się dużym powodzeniem na scenach kilku krajów europejskich. Została wystawiona w Zagrzebiu, Koszycach, Berlinie i Wiedniu, a później zobaczą ją mieszkańcy Pragi, Leningradu i Tuluzy. Jest to najznakomitsza opera węgierska w ciągu ostatniego dziesięciolecia. W ostatnim czasie operą tą zainteresowały się teatry operowe w Bordeaux, Los Angelos i Londynie.

JUGOSŁAWIA

W ZSRR przebywała na gościnnych występach znana piosenkarka jugosłowiańska Tereza Kesovija i kwartet „4M". Prasa radziecka dużo uwagi poświęciła występom artystów z Jugosławii. „Sowietskaja Kultura" pisała m. in., że jest to doniosłe wydarzenie w życiu kulturalnym Moskwy i ocenia Terezę Kesoviję jako wybitną interpretatorkę melodii rozrywkowych, którą cechuje: prostota, naturalność i szczerość.

Oprac. Henryk Róg

POLEMIKI ● DYSKUSJE ●

Plastyka ludowa czy folklor?

Krystyna Świerczewska w artykule „Góral z krzywym nosem, czyli ginący folklor" (Widnokrąg" nr 25/67, s. 3) zajęła się różnymi aspektami kultury ludowej. Chyba bardzo dobrze. Przecież ta sprawa zaprząta wiele umysłów, troszczy się nią wiele instytucji. Pisze tedy o okropnych pamiątkach, szczególnie nabywanych w miejscach turystycznych i zaśmiecaniu nimi mieszkań (bardzo słusznie!), robi zarzuty „Cepelii" — jak najtrafniej — że sprzedaje wyroby „zarażone źle pojętą nowoczesnością", że są jeszcze autentyczni twórcy, w rodzaju Anieli Orłowskiej czy Franciszka Kruły, że w Dynowie niedawno pokazano „piękne koronkarstwo z okolic Elecza, hafty, sztukę ludową z sąsiednich powiatów, rzeźbę drewnianą, garncarstwo... itd". Podpisuje się pod tym i prawą, i lewą ręką. Wreszcie konkluduje: „... proponuję przejąć ścisłą kontrolę nad jakością sprzedanych e k s p o n a t ó w (podkreślenie moje).

Wszystko to bardzo, bardzo słuszne, ale... właśnie to „a i e". Zachodzi tu typowy przykład na powiedzonko... zobacz tytuł. Z kolei przytoczę kilka bardzo autorytatywnych wypowiedzi (aby mnie nie posądzono o złośliwość). Otóż:

Maksym Gorkij napisał „... prawdziwej historii pracującego ludu nie można poznać, nie znając ustnej twórczości ludowej. (...) od głębokiej starożytności f o l k l o r (podkreślenie moje) nieodłącznie i swoiście towarzyszy historii... „Zaś Stefan Czarnowski, wybitny socjolog polski pisze: „Folklor polski — jest tworem historycznym, gdzie elementy pochodzenia obcego mieszają się z autentycznymi (...) jest tworem żywym, złożonym z form, symbolów, z działania i obyczajów (...) za folklorem kryją się pojęcia, wyobrażenia, obyczaj i formy życia społecznego". I wreszcie: Julian Krzyżanowski w Słowniku folkloru polskiego, Wiedza Powszechna, 1965, pod hasłem „folklor" pisze — „powołując się na A. Watermana — „Folklor jest to postać sztuki obejmująca różne rodzaje opowiadań, przysłów, powiedzeń, zakląć, pieśni, formułek czarnoksięskich...". Tak więc „a i e" oznacza, że K. Świerczewska, pisząc o plastyce ludowej, błędnie nazywa ją folklorem. Pomieszanie pojęć. Zresztą robi to nie tylko ona, ten błąd spotyka się bardzo często. Inaczej: plastyka ludowa, kultura materialna oraz folklor — to różne działy kultury ludowej i mieszać ich nie wolno.

F. KOTULA

Seweryna Szmaglewska: KRZYK WIATRU. PIW, s. 189, cena 10 zł.

Drugie wydanie powieści autorki „Dymów nad Birkenau". Omówiona w niej tematyka obozowa. Autorka ukazała jeden z tysięcy oświęcimskich dni. Jakże okrutny i prawdziwy. Wstrząsający dokument epoki. Dla starszych przypominający okres okupacji, dla młodych — to „krzyk wiatru".

Krystyna Pająkowa: UCIECZKA OD ZAPACHU ŚWIEC. Iskry, s. 439, cena 30 zł. Wyd. II.

Autobiografia, lub może powieść, która wyszła spod pióra kobiety, która własną pracą, w trudnych warunkach zdobyła wysoką pozycję w dzisiejszym świecie. Historia dziewczyny, której warunki Polski Ludowej tuż po uzyskaniu niepodległości stwarzają szansę na zdobycie wykształcenia. I szansę tę wykorzystuje. Psychologiczne i obyczajowe. Ciekawe.

Robert Jarocki: BANKIET. Iskry. s. 154, cena 8 zł.

„Mam za sobą... 125 wieców różnego kalibru, 150 okolicznościowych akademii i 2 500 różnych narad i konferencji... Pierwszy artykuł napisałem w 1948 roku, będąc wtedy najmłodszym przewodniczącym Zarządu Powiatowego ZWM w kraju. Dostałem za ten utwór naganę i 150 zł na stare pieniądze... W ten sposób zostałem dziennikarzem otrzymującym systematycznie nagany i coraz wyższe honoraria" pisze autor o sobie. Siedemnaście utworów (wspomnień?) przypomina pierwsze lata na Ziemiach Zachodnich. Dobre.

Anna Kamieńska: JEDEN Z GRZECHÓW PIĘKNYCH. Wyd. Lubelskie, s. 274, cena 20 zł.

Autorka: poetka, krytyk i wieloletni redaktor rozmawia ze współczesnym czytelnikiem i słuchaczem poezji. Nie jest to jednak ani podręcznik, ani traktat o poezji.

Tymoteusz Karpowicz: KIEDY KTOŚ ZAPUKA. Wyd. Poznańskie. s. 387, cena 25 zł.

Książka zawiera pięć utworów dramatycznych znanego pisarza. (Kiedy ktoś zapuka, Czterech nocnych stróżów, Człowiek z absolutnym węchem, Jego mała dziewczynka, Przerwa w podróży).

Leon Kruczkowski: PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI. PIW, s. 140, cena 5 zł. Wyd. II. Biblioteka Szkolna.

Przedmowę do tej sfilmowanej sztuki teatralnej napisał Zbigniew Żabicki.

Piotr Tieremow: PŁONĄCE BRZEGI. Przeł. A. Zawilski. MON, s. 490, cena 22 zł.

W serii pamiętników dowódców radzieckich wspomnienia generała, który w latach wojny był dowódcą dywizji, jaka wyzwalała północne rejony ziem Polski.

Booth Tarkington: SIEDEMNASTOLATEK. Przeł. W. Komarnicka. Iskry, s. 241, cena 17 zł.

Autor tej książeczki o psychologicznych problemach wieku cielęcego zdobył dwukrotnie nagrodę Pulitzera. Historia siedemnastoletniego młodzieńca śmiertelnie zakochanego w swojej uroczej rówieśniczce. Dla młodzieży i dorosłych.

ŻYCIE INNYCH LUDZI. Opowiadania angielskie. PIW, s. 390, cena 25 zł.

Szesnaście opowiadań obejmuje nowelistykę najwybitniejszych pisarzy lat dwudziestych, trzydziestych i pięćdziesiątych naszego wieku. Przegląd tematów i środowisk. Warto przeczytać.

Jan Rudzki: WILKOŁAKI. MON, s. 256, cena 15 zł. Wyd. II.

Walka naszego kontrwywiadu z agentami wywiadu zachodnioniemieckiego. Seria „Labirynt".

Władysław Stanisław Reymont: CHŁOPI. T 1—4. PIW, cena I/IV 60 zł. Opr. płócienna. Wyd. piętnaste.

Państwowy Instytut Wydawniczy uczcił 100 rocznicę urodzin Reymonta starannym wydaniem powieści, za którą pisarz otrzymał Nagrodę Nobla.

Jerzy Pertek: WIELKIE DNI MAŁEJ FLOTY. Wyd. Poznańskie, s. 479, cena 50 zł. Wyd. II masowe (szóste z kolei).

Znany pisarz — marynista opisuje walki floty polskiej w okresie II wojny światowej. Ciekawe ilustracje.

PLAN, BODŹCE, INICJATYWA. KiW, s. 239, cena 15 zł.

Książka przygotowana przez Agencję Prasową „Nowości", zawiera interesujące informacje na temat reformy zarządzania w ZSRR, realizowanej od 1965 roku. Przykłady zaczerpnięto z praktyki dnia codziennego. Wypowiedzi kierowników życia gospodarczego.

Stefan Weinfeld: TECHNIKA WSPIERA UMYSŁ. MON, s. 151, cena 9 zł.

Pozycja popularnonaukowa. Traktuje o nowych możliwościach, jakie stworzyła przed ludzkością elektroniczna technika obliczeniowa. O automatyzacji.

Antoni Mączak: U ŹRÓDEŁ NOWOCZESNEJ GOSPODARKI EUROPEJSKIEJ, PWN, s. 199, cena 10 zł. Omega.

Doc. dr Mączak zajmuje się w swojej pracy zagadnieniami ludnościowymi, gospodarczymi i politycznymi Europy XVIII w., a szczególnie stosunkami w Anglii, aby pokazać podłoże gwałtownego rozwoju gospodarki angielskiej tego okresu.

Ewa Starczewska: SPOTKAMY SIĘ W KLUBIE. CPARA. cena 40 zł.

Ciekawa pozycja zaznajamiająca z formami pracy klubowej, proponująca repertuar dla tego typu placówki kulturalnej.

Na naszym ekranie

Jean Marais

W Polsce zobaczyliśmy go po raz pierwszy ponad dziesięć lat temu w ckliwym melodramacie „Cud zdarza się raz". Z miejsca zawojował sobie sympatię widzów (szczególnie pań) swoją urodą, wdziękiem i wkrótce wraz z Gerardem Philipem dzielił główne miejsca w filmowych albumach nastolatków. Po „Cudzie" bowiem przyszła „Julietta", „Helena i mężczyźni", a przede wszystkim „Hrabia Monte Christo" i seria filmów „płaszcza i szpady": „Garbus", „Kapitan Fracasse", „Serce i szpada", „Kawaler króla jegomości". Popularność Jeana Marais nie maleje, bo też aktor jawi się nam na ekranie często i w coraz to innych rolach; ostatnio w filmach kryminalnych „Fantomas" i „Gentleman z Cocody".

Urodził się w roku 1913. Od lat szkolnych interesuje się sportem, zaczyna od noszenia kijów golfowych, by wkrótce przejść do innych dyscyplin, już jako zawodnik. Osiąga dobre wyniki w gimnastyce, szermierce, pływaniu. Karierę zawodową zaczyna jako retuszer w zakładzie fotograficznym, potem próbuje malarstwa, gra nawet jakąś rolę w filmie „L'Eprevier" M. Herbiera (1933 rok). W 1937 r. rozpoczyna występy sceniczne dzięki Jeanowi Cocteau, który obsadza go w swoich sztukach. „Kawalerowie okrągłego stołu", „Straszni rodzice", „Maszyna piekielna", „Renaud i Armida", „Dwugłowy orzeł" — oto inscenizacje Cocteau, które zyskały początkującemu aktorowi znaczną popularność we Francji. Teatralną i filmową karierę Marais dwukrotnie przerywa wojna. Idzie do wojska, uczestniczy w kampanii 1940 roku, a w 1944 jest ochotnikiem w słynnej dywizji gen. Leclerca, walczy pod Strasburgiem, gdzie zostaje odznaczony „Croix de Guerre".

Po przyjeździe do Paryża wraca na ekran i scenę. Występuje w wielu filmach, z których zwłaszcza „Piękna i bestia" oraz „Orfeusz" zdobywają mu sławę wykraczającą poza granice Francji. Sławę tę ugruntowują następne obrazy, z których wiele dotarło także do naszego kraju.

Piszący te słowa nie jest miłośnikiem aktorstwa Marais, ale ma wiele podziwu dla jego żywotności, werwy i pewnej przemijającej już na ekranie elegancji nieco staroświeckiej, ale przecież nie pozbawionej wdzięku. No i ta ogromna skala życiowych zainteresowań aktora! Jest w niej miejsce nie tylko na sport (zobaczcie, jaką wspaniałą kondycję fizyczną ma ten 54-letni pan, nie pozwalający się dublować w najtrudniejszych scenach; może się z nim równać w tej dziedzinie chyba jedynie John Wayne) nie tylko na scenę i ekran, ale i na uprawiane z zamiłowaniem malarstwo, kolekcjonerstwo dzieł sztuki, żywe zainteresowanie literaturą, pięknymi końmi i... psami. Kiedy czyta się w prasie zagranicznej, że Marais to w dodatku wielbiciel samotności, wiele czasu spędzający w swoim domku pod Paryżem, można zacząć kłaść to na karb umiejętnej reklamy, tak wiele tych różnorodnych cech przypisuje się temu człowiekowi.

A jednak jest to niewątpliwie indywidualność, i tu jesteśmy zgodni z naszymi Czytelniczkami, które tylekroć z zapałem i ostro reagowały na krytyczne słowa o pewnych filmach, w których występował Jean Marais z owym stareńkim „Cud zdarza się raz" na czele.

(sz)

Mieczysław STASZEWSKI. Kierownik Klubu Fabrycznego przy ZDK „Górnik" w Gliniku.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

Dąb

Za oknem domku rósł stary dąb, szumiący kiściami liści, rozłożysty i podziw budzący swoją urodą.

W cieniu dębu siadywał jego przyjaciel, samotny starzec, oczekujący śmierci.

Staremu człowiekowi było smutno.

— Od dzieciństwa żyłem w cieniu tego drzewa — szeptał. — Ciężko mi będzie z nim się rozstać...

Znajomi pocieszali go.

— Kiedy umrzesz, zrobimy ci z tego drzewa trumnę. Pozostaniesz z twoim przyjacielem na wieki...

Stary człowiek uśmiechnął się, na chwilę poweselał, lecz potem wpadł w rozterkę i zapłakał.

— Czym chcecie mnie pocieszyć? Śmiercią mojego przyjaciela? Ach, nie, cieniem i pięknością to drzewo ma służyć żywym, a nie umarłym...

Potem starzec umarł, a dąb ścięli ludzie. Zrobili z niego szubienicę. Dla ludzi.

Spacery

Te wspólne spacery były prawie jedynym urozmaiceniem ich bezbarwnych dni powszednich.

On wyprzedzał ją zazwyczaj o dwa, trzy kroki. Mogło się wydawać, że jest pogrążony w głębokich rozmyślaniach. Głowę miał ponuro zwieszoną i na pozór nie zwracał na nikogo uwagi. Patrząc na niego przechodnie wzarygali się. Był to brzydki tłuściocha o złych oczach i nieprzyjemnie wystającym uzębieniu.

Kobieta idąca za nim nie dostrzegała w nim brzydoty. Jego tusza sprawiała jej przyjemność, a w jego oczach czytała inteligencję i przywiązanie.

Myślała:

— Nikogo nie mam na świecie. Wszyscy o mnie zapomnieli. Gdyby nie on, nie miałabym nawet z kim pójść na spacer. Gdyby nie on, moje życie byłoby jeszcze bardziej smutne...

Chwilami można było przypuszczać, że jej myśli docierają do niego — podnosił wtedy dumnie głowę, jego chód stawał się pewny siebie, prawie dostojny, a jego małe oczka patrzyły hardo dokoła.

Przechodnie odwracali się od niego ze wstrętem, mimo że był rasowym buldogiem, czystej krwi...

Zdarzenia tygodnia

W niedzielę, tj. 25 bm., na dziedzińcu zamkowym (w wypadku niepogody — w sali balowej) w Łańcucie odbędzie się zorganizowany przez rzeszowską Filharmonię recital fortepianowy Haliny Czerny-Stefańskiej. Znakomita polska pianistka wykona utwory K. Szymanowskiego, J. Zarębskiego, L. v. Beethovena, F. Chopina i Liszta.

* * *

Na scenie Teatru im. Wandy Siemaszkowej weszła interesująca sztuka angielskiego dramaturga Arnolda Weskera — „Cztery pory roku". Role odtwarzają: Ryszard Krzyżanowski i Irena Chudzikówna, reżyseria Elwiry Turskiej, scenografia — Barbara Stopka. Muzyka Zbigniewa Bujarskiego.

Kogo interesuje zagadnienie wybaczania sobie i innym, powinien obejrzeć „Cztery pory roku".

* * *

W rzeszowskim Domu Sztuki odbył się 19 bm., zorganizowany przez Biuro Wystaw Artystycznych wieczór poezji K. I. Gałczyńskiego. Wiersze recytowali aktorzy Teatru im. W. Siemaszkowej Joanna Jarzębska i Jan Adamski. Słowo wstępne wygłosił Jerzy Pleśniarowicz.

* * *

Przy Zakładowym Domu Kultury WSK w Mielcu organizuje się Dyskusyjny Klub Filmowy. Kandydaci na członków dokonali ostatnio wyboru Rady Klubu oraz uchwalili statut.

Rada Klubu zamierza oprócz projekcji i dyskusji nad filmami organizować spotkania z aktorami, reżyserami i twórcami filmów, wycieczki do wytwórni filmowych i na krajowe festiwale filmowe.

* * *

23 czerwca odbył się w Rzeszowie kolejny koncert symfoniczny. Orkiestra Filharmonii im. A. Malawskiego pod dyrekcją Tadeusza Chachaja wykonała utwory I. Strawińskiego i G. Rossiniego, a warszawski pianista Andrzej Stefański — Koncert skrzypcowy G. Bacewicz. Artystka Opery Warszawskiej Zofia Lupertowicz śpiewała arie z oper St. Moniuszki, O. Nicolai'a i J. Masseneta.

* * *

Zespół teatralny Klubu 20-lecia PRL w Przeworsku przygotował komedię Moliera „Pocieszne wykwintnisie" w reżyserii Dariusza Dubiela. Premiera przedstawienia odbyła się w ubiegłą niedzielę. Uwypuklenie inscenizacją sztuki aktualnych zawsze problemów zadecydowało o powodzeniu spektaklu.

* * *

19 i 20 bm. w Baranowie Sandomierskim odbyło się seminarium bibliotekarzy placówek związkowych i bibliotek publicznych. W czasie dwudniowych zajęć omówiono problematykę VIII Plenum oraz zagadnienia literatury dramatycznej. Uczestnicy zwiedzili także zabytki Sandomierza.

Organizatorem szkolenia były: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i WKZZ.

* * *

W Sanoku odbyła się kursokonferencja dla aktywu k.o. z powiatu sanockiego na temat przygotowań do obchodów 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Podobna kursokonferencja odbyła się również w Rzeszowie dla aktywu kulturalnego z powiatu i miasta Rzeszowa.

* * *

W dniach 18 i 19 bm. odbył się w WDK kurs stopnia podstawowego dla instruktorów muzyki, stanowiący początek cyklu szkoleniowego. Program szkolenia obejmuje wybrane zagadnienia zasad muzyki, kształcenia słuchu, dyrygowania i metodyki prowadzenia zespołów.

Sejmik działaczy amatorskiego ruchu teatralnego

W ubiegłą niedzielę obradował w Rzeszowie IV Wojewódzki Zjazd Związku Teatrów Amatorskich. Oprócz 71 delegatów wybranych przez zespoły oraz na zjazdach powiatowych uczestniczyli w nim przedstawiciele Wydziału Propagandy KW PZPR, Wydziału Oświaty i Kultury WK ZSL, ZW ZMW, Wydziału Kultury Prez. WRN i zaproszeni goście.

Na wstępie warto wspomnieć o miłym momencie, jakim było wręczenie przedstawicielom instytucji współpracujących ze Związkiem i 37 działaczom amatorskiego ruchu teatralnego pamiątkowych dyplomów uznania, przyznanych przez Zarząd Główny za ofiarność w upowszechnianiu kultury teatralnej wśród mieszkańców miast i wsi. Wypada również od razu zaznaczyć, że amatorski ruch teatralny na Rzeszowszczyźnie ma bogate tradycje i niemałe osiągnięcia. Zobrazował je w referacie sprawozdawczo-programowym wiceprezes Zarządu Oddziału ZTA mgr Zbigniew Umiński. W naszym województwie działa blisko 700 różnego rodzaju zespołów amatorskich.

Obok zespołów regionalnych i tradycyjnego teatru dramatycznego pojawiły się nowe formy: teatr estradowy, małe formy teatralne, wokalne i muzyczne. Pomoc organizacji politycznych, resortu kultury, współdziałanie ze związkami zawodowymi, organizacjami młodzieżowymi pozwoliło Związkowi Teatrów Amatorskich rozwinąć szerszą działalność niż to ma miejsce w innych rejonach kraju. ZTA sprawuje bezpośredni patronat nad 72 zespołami. Objęto opieką także 24 koła miłośników teatru.

Padło również kilka krytycznych uwag. Wymienimy chociażby niewykorzystanie w pełni możliwości społecznego oddziaływania na niektóre środowiska. Zbyt nikła jest również liczba oddziałów powiatowych Związku. Otwartym problemem pozostaje również sprawa koordynacji poczynań organizacji i instytucji, zajmujących się upowszechnianiem kultury.

Jednym z podstawowych zadań Związku jest rozwijanie kultury żywego słowa, budzenie zamiłowania do literatury pięknej i języka ojczystego. W tym celu rozwija się na szeroką skalę akcję popularyzującą konkursy recytatorskie i zespołową recytację. Teatry poezji i estrady poetyckie osiągają coraz wyższy poziom i liczą się w skali ogólnopolskiej. Poważną imprezą z udziałem teatrów poezji był zorganizowany przez ZO ZTA i WDK Wojewódzki Przegląd Ogólnopolskiego Festiwalu dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, w którym uczestniczyło 11 zespołów tego typu. Uczestniczące w Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych zespoły estradowe prezentowały programy oparte w większości na tekstach własnych, dotyczących spraw środowiska. Dębicka „Skra", tarnobrzeski „Kaktusik", rzeszowska „Meluzyna" i estrada jasielskiego PZGS-u wykazały dużą dojrzałość artystyczną. „Meluzyna" za program „Rzeszowska szopka 1966" według tekstów Władysława Szwai uzyskała w skali krajowej I miejsce.

Największe jednak efekty wychowawcze i artystyczne uzyskują teatry dramatyczne. Wiele z nich pracuje nieprzerwanie od kilkunastu lat. Dziś nie tylko amatorskie teatry środowisk miejskich, ale również dziesiątki zespołów wiejskich sięgają po zasługujący na uwagę repertuar.

W ostatnim okresie Zarząd Wojewódzki ZTA zwrócił szczególną uwagę na krzewienie i upowszechnianie kultury teatralnej. Tak np. 2 lata temu wspólnie z WKZZ, ZW ZMW i Międzyszkolnym Ośrodkiem Prac Pozalekcyjnych podjęto się obowiązku sprawowania opieki nad ruchem miłośnictwa teatru i udzielania mu pomocy.

Bardzo pozytywną rolę w zbliżeniu środowisk wiejskich do teatru spełnia konkurs „Wieś bliżej teatru". I tu osiągnięto bardzo dobre wyniki. Województwo rzeszowskie w II etapie tej ogólnopolskiej akcji zajęło czołowe miejsce.

Od 1960 roku działa Wojewódzka Scena Amatorska, którą przemianowano na Wojewódzką Scenę Amatorskiej Twórczości Artystycznej. Od 4 lat odbywają się także z inicjatywy WKZZ spotkania czołowych związkowych teatrów dramatycznych — impreza nosząca tytuł „Teatry Robotnicze ludziom pracy", będąca okazją do konfrontacji osiągnięć.

Uczestnicy Zjazdu wybrali Zarząd Oddziału oraz delegatów na zjazd krajowy. Z 15-osobowego składu Zarządu wyłoniono prezydium. Prezesem ponownie został wybrany Franciszek Rzepiela, wiceprezesami mgr Zbigniew Umiński i Stanisław Gliwa, sekretarzem a zarazem urzędującym członkiem prezydium Wiktor Nowicki.

(stanski)

25 — 28 VI w Poznaniu

Europejskie spotkania „Słowików"

W świecie muzycznym Poznań znany jest nie tylko jako miasto Merkurego. Słynie bowiem głównie z Konkursów im. Henryka Wieniawskiego, pięknego i cennego zbioru instrumentów dawnych, a przede wszystkim z wysokiej kultury muzycznej, dzięki której świetnie pracują i rozwijają się aż dwa chóry chłopięce o europejskim poziomie wykonawczym, słynne „poznańskie słowiki", czyli Chór Chłopięcy i Męski Państwowej Filharmonii, pracujący pod dyrekcją Stefana Stuligrosza i nie mniej popularny Poznański Chór Chłopięcy Jerzego Kurczewskiego.

Poznań znany z licznych inicjatyw kulturalnych i znakomitej organizacji wszelkiego rodzaju imprez artystycznych zauważył że w kalendarzu festiwali europejskich brak spotkań chórów chłopięcych, wszędzie nazywanych, tak jak u nas — słowikami. Od podjęcia inicjatywy do jej realizacji nie upłynęło wiele czasu. I oto, gdy w Opolu rozbrzmiewać będą piosenki koncertu laureatów, w niedzielę, 25 bm., w sławnej z cudownej akustyki auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu nastąpi inauguracja I Międzynarodowego Festiwalu Chórów Chłopięcych, w którym weźmie udział 5 zespołów polskich i 3 zagraniczne: lipskie słowiki, czyli najstarszy w Europie, liczący 755 lat działalności Chór Chłopięcy z Lipska „Thomanerchor" — należący do światowej czołówki zespołów chłopięcych, 60-osobowy zespół śpiewaków, składający się z uczniów, studentów, pracowników — mieszkańców francuskiej miejscowości Roubaix i Chór Chłopięcy Moskiewskiej Szkoły Chóralnej Jurija M. Ułanowa.

Polskie zespoły pochodzą z Wrocławia, Szczecina, Zielonej Góry i wspomniane wyżej — z Poznania.

28 czerwca przewidziany jest koncert galowy.

W czasie trwania festiwalu 25—28 bm. odbędzie się kilka specjalnych imprez towarzyszących, spośród których najciekawiej zapowiadają się spotkania dyskusyjne kompozytorów, muzykologów, dyrygentów, krytyków muzycznych i działaczy ruchu śpiewaczego na tematy artystyczne oraz dydaktyczno - wychowawcze.

Założenia festiwalu, którego organizatorem jest Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne, nie wzorują się na popularnych w Polsce Międzynarodowych Konkursach Chopinowskich czy im. Henryka Wieniawskiego. Festiwal pomyślany raczej jako przegląd dorobku zagranicznych i polskich chórów chłopięcych, za główny cel wytycza sobie przede wszystkim popularyzację polskiej muzyki chóralnej dawnej i współczesnej. Podkreśla to wyraźnie regulamin sugerując np. chórom zagranicznym włączenie do swego programu dwóch utworów polskich kompozytorów okresu dawnego i najnowszego. Dlatego też — poza obszerną informacją i efektownym plakatem projektu poznańskiego artysty plastyka Tadeusza Piskorskiego, wysyłano za granicę nuty z polskimi utworami chóralnymi.

Przebieg pierwszego Międzynarodowego Festiwalu Chórów Chłopięcych i poziom jego zadecydują, czy ta impreza śpiewacza stanie się czymś stałym i czy życie muzyczne Poznania wzbogaci się o nową międzynarodową pozycję.

M. G.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2051, 2057 — wewn. 138. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.